Rok IV. Nr. 251 (1000) Wilno, Czwartek 3 listopada 1927 r. Cena 20 groszy.

KURJER WILEŃSKI

NIEZALEŻNY ORGAN DEMOKRATYCZNY.

Redakcja i Administracja: JAGIELLOŃSKA 3. Telefon 99. Czynne od godz. 9—3 ppoł.
Naczelny redaktor przyjmuje od 2—3 ppoł.
Redaktor działu gospodarczego przyjmuje od 8—9 wiecz. Rękopisów Redakcja nie zwraca.
Administrator przyjmuje od 9—2 ppoł.
Ogłoszenia przyjmują się od 9—3 ppoł. i 7—9 w
Konto czekowe P. K. O. 80.750.
Drukarnia — ul. św. Ignacego 5. Tel. 893.

CENA PRENUMERATY: miesięcznie z odnoszeniem do domu lub przesyłką pocztową 4 zł. Zagranicą 7 zł. CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz milimetrowy tekście—25 gr., za tekstem—10 gr., ogłoszenia mieszkaniowe—10 gr. (za wiersz petitowy) kronika re k nadesłane—30 gr. (za wiersz redakcyjny), dla poszukujących pracy—50% zniżki, ogł. cyfrowe i tabelowe o 20% drożej, ogł. z za trzeżeniem miejsca 10% drożej. Układ ogłoszeń 6-cio łamowy, na IV stronie 10-cio łamowy. Administracja zastrzega sobie zmianę termine w ogłoszeń.



Linoleoryt Kazimiery Adamskiej-Rouba.

NASZE ZADANIA NA PRZYSZŁOŚĆ.

Dziś wydaliśmy tysięczny numer naszego pisma. Minęło więc przeszło 1000 dni żmudnej i nadewszystko bardzo nerwowej i w ciężkich warunkach prowadzonej pracy, pracy, którą statystyka zalicza do jednej z najbardziej zużywającej siły pracownika.

Szczególnie trudna i niewdzięczną jest ta praca u nas, tu na Wileńszczyźnie, gdzie czytelnictwo stoi naogół na stosunkowo niskim poziomie, gdzie gazetę — nie mówiąc już o sferach robotniczych i chłopskich — nawet wśród inteligencji uważa się za pewnego rodzaju luksus, gdy na Zachodzie stanowi ona pokarm codzienny, konieczne dopełnienie kulturalnego i politycznego życia.

Gdyśmy więc wydawali pierwszy numer, zgóry zdawaliśmy sobie sprawę, że bierzemy na siebie zadanie ciężkie, że trudności, jakie będziemy mieli do przezwyciężenia, musimy pokonywać wysiłkami, wymagającymi dużo poświęcenia i samowyrzeczenia się i że pełne zwycięstwo osiągniemy po dłuższym dopiero okresie czasu. Zawsze jednak przyświecała nam świadomość, że wcześniej czy później zwyciestwo nastąpić musi.

Dzień w dzień przeto wkładaliśmy w ten nasz numer maksimum wysiłku i nie zrażani wielu zawodami, jakie kłodami kładły się wpoprzek naszych szczerych zamiarów — krok za krokiem posuwaliśmy się naprzód, obejmując coraz to szersze tereny, coraz to szersze warstwy społeczeństwa W miarę tego ustępowała ospałość i idąca stąd nieufność społeczeństwa do szerzonych przez nas demokratycznych ideałów — pozyskiwaliśmy zaufanie mas — pismo nasze stawało się nieodłącznym towarzyszem wielu z tych, dla których ideja demokracji jest jedyną możliwą formą rządzenia państwowego i społecznego współżycia.

Dziś, kiedy numer naszego pisma zaokrągla się imponującą liczbą tysiąca, możemy już rzec śmiało, że przełamaliśmy pierwsze lody, że trudności zasadnicze mamy już daleko za sobą.

Z drugiej jednak strony uświadamiamy sobie w pełni, że są to tylko pierwsze kroki, na których zadanie nasze i cele się nie kończą. Gleba, na którą po szeregu innych demokratycznych pism rzuciliśmy demokratyczne ziarno jest jeszcze tak nieuprawioną, tak mało obfitującą w zdrowe, a co główne świadome i skrystalizowane plony, że trzeba nam będzie jeszcze długo z zakasanemi rękawami orać, aby wyplenić z niej chwasty niezdecydowania, niepewności i dowolności w ujmowaniu kardynalnych społeczno-politycznych zagadnień.

Społeczeństwo nasze na Wileńszczyźnie bez względu na wyznanie i pochodzenie jest naogół szczerze demokratyczne. Niema ono tylko w tym kierunku odpowiedniego wyrobienia, wobec czego często poddaje się niezdrowym wpływom, które sprowadzają je na śliską drogę szowinistycznej, a nawet komunistycznej demagogji. Jeżeli ostatnio nastąpiła w tym względzie daleko idąca poprawa, jeżeli społeczeństwo nasze w komunalnych wyborach w przytłaczającej większości tak wyraźnie zadeklarowało się jako demokratyczne, znikomy dając posłuch reakcji i komunie, solidaryzując się z obozami, które szczerze hołdują ideałom demokratycznym, świadczy o dobitnie, że praca nasza, która znajdywała swój wyraz na łamach tysiąca numerów, nie poszła na marne, że doczekała się ona pozytywnego rezultatu, znajdując należny oddźwięk w duszach społeczeństwa. Na tem jednak nie możemy poprzestać.

W dalszym ciągu całą siłą woli będziemy się w miarę możności i sił starać, aby w demokratycznem z gruntu, ale niezdecydowanem społeczeństwie Wileńszczyzny pogłębić podstawowe ideały demokracji do tego stopnia, by należałości ani z prawa, ani z lewa nie miały doń żadnego dostępu. To będzie naszem głównem zadaniem, tu przedewszystkiem skierujemy całą swoją uwagę, nie powstrzymując się przed jaknajdalej idącem poświęceniem.

Musimy doprowadzić do tego, by każdy obywatel nietylko niósł do urny wyborczej numerek tego, czy innego obozu demokratycznego, ale by czynił to zupełnie świadomie, by zdawał sobie sprawę wyraźnie, czem jest demokracja i dlaczego tylko demokracja zdolna jest w obecnym układzie całokształtu życia dać mu pełną gwarancję swobodnego rozwoju we wszystkich płaszczyznach.

Nie obcym nam będzie stosunek do świata pracy. Dotychczas już poświęcaliśmy mu stosunkowo dużo miejsca, notując codziennie wszelkie w nim przejawy, a raz na tydzień ujmując szerzej ruch zawodowy. Na przyszłość postaramy się dział ten rozszerzyć, obejmując nim równocześnie blisko nas obchodzące szerokie rzesze drobnych rolników, których bolączkom poświęcimy niemało uwagi.

Z tem wszystkiem łączy się nasz stosunek do obywateli Wileńszczyzny mówiących tylko innym językiem, ale tak samo, jak my, związanych z tą ziemią, która była i jest nam wspólną matką. W tym kierunku będziemy w dalszym ciągu stać nieugięcie na tem stanowisku, że dzieli nas tylko język, a łączy wszystko. I dlatego będziemy dalej walczyć o należne zrozumienie dla postulatów mniejszości, dla których ramy rozwoju wykreśliła konstytucja, pozostająca odnośnie do nich dotychczas martwą tylko literą, a o którą, jako o taką rozbijają się wszelkie wzajemne wysiłki, zmierzające do normalizacji współżycia narodowościowego na Ziemiach Wschodnich.

Będziemy również walczyć z niezrozumiałym dla nas, a krzywdzącym godność ludzką podziałem ogółu społeczeństwa na obywatel i pierwszej i drugiej kategorji, dążąc do wyrównania wytworzonych sztucznie, bo zgóry społeczeństwu narzuconych, różnic. A zdając sobie sprawę, że dotychczasowe stosunki na Wileńszczyźnie są wytworem nawskroś niezdrowego i świadczącego o upadku moralnym kultu nienawiści do wszystkiego, co niepolskie, przeciwstawiać będziemy temu stale ideę wzajemnego zrozumienia i poszanowania, gdyż jest to jedna z najgłówniejszych dróg, które prowadzą do uzdrowienia tych zabagnionych stosunków, które i dziś niezupełnie dobrze się układają.

Wileńszczyzna bowiem zasadniczo różni się od pozostałych części kraju. Inną miała ona przeszłość historyczną, inną posiada strukturę gospodarczą, inną jest wreszcie psychika mieszkańca Królestwa, a psychika mieszkańca Ziem Wschodnich. Gdy do tego dodać skomplikowany skład narodowościowy który w żadnym wypadku nie da się pomieścić w ogólnym szablonie urządzeń państwowym, staje się zupełnie jasnem, że Wileńszczyzna wymaga odrębnego traktowania.

Mając to na względzie, do tylu już wyłuszczonych zadań *dołączamy podnoszone przez nas stale nasze zadanie naczelne — dążenie do nadania ziemiom b. Wielkiego Księstwa Litewskiego w obecnych granicach Rzeczypospoliej autonomji terytorjalnej.*

Wreszcie bacznem okiem śledzić będziemy bieg wypadków między Litwą i Polską, bratniemi krajami, które połączyła historja i całokształt zazębiających się, b. silnie wzajemnych stosunków i interesów, a które tylko ślepa i co najgłówniejsze sztuczna nienawiść wybujałego szowinizmu niektórych niepowołannych czynników kowieńskich i polskich — oddzieliła od siebie.

To będą między innemi główne nasze zadania na przyszłość.

Trzy budżetowe koncepcje Sejmowe.

WARSZAWA, 2 XI (Pat). Dziś w południe pod przewodnictwem marszałka Sejmu Rataja, konwent senjorów zastanawia się nad stanowiskiem, jakie ma zająć Sejm wobec zwołania zwyczajnej sesji i przedłożenia Sejmowi przez rząd projektu preliminarza budżetowego na rok 1928/29. Na ten temat rozwinęła się obszerna dyskusja, którą marsz. Rataj przy końcu obrad streścił w ten sposób, że zaznaczyły się zasadniczo 3 kierunki: Pierwszy z tych kierunków wypowiada się za tem, że Sejm nie powinien zajmować się budżetem z uwagi na to, że budżet nie został przedstawiony w formie przewidzianej przez Konstytucję, a więc wraz z załącznikami.

Brak zresztą czasu, potrzebnego dla załatwienia budżetu uniemożliwia Sejmowi jego załatwienie. Drugi kierunek wyraził zdanie, że budżet należy odesłać do komisji budżetowej, tam zaś praca nad budżetem winna toczyć się w ten sposób, jak gdyby przedłożenie rządowe należało załatwić w czasie, pozostającym do upływu kadencji sejmowej, t. j. do 28 listopada r. b.

Wreszcie z trzeciej strony wyrażono zapatrywanie, ażeby wobec niemożności załatwienia budżetu ze względu na krótki przeciąg czasu, oświadczyć jedynie gotowość załatwienia kredytów dodatkowych do budżetu na rok bieżący oraz uchwalić prowizorjum budżetowe na I kwartał następnego okresu budżetowego, t. j. na czas od 1 kwietnia do 30 czerwca 1928 roku. Kwestję powyższą postanowiono uczynić przedmiotem rozważań klubów sejmowych poszczególnych stronnictw, w tym też celu odroczono powzięcie ostatecznej decyzji do dnia następnego do godz. 2 min. 30 po południu. Konwent senjorów zadecydował załatwienie w bieżącej sesji noweli do ustawy o Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej.

Wiadomości polityczne.

(*Telefonem od własnego korespondenta z Warszawy*).

Dzisiejsze posiedzenie plenarne Sejmu rozpocznie się o godzinie 3 po południu.

Przebieg dzisiejszego dnia parlamentarnego jest oczekiwany tutaj z dużem zaciekawieniem. Jeśli idzie o stanowisko rządu, to rząd zajmuje stanowisko obserwatora i uzależnia swą decyzję od wyniku dzisiejszego posiedzenia Konwentu Senjorów. W razie negatywnego ustosunkowania się Sejmu do przedstawionego preliminarza budżetowego — nie ulega wątpliwości, iż sesja Sejmu byłaby bardzo krótkotrwała. Natomiast, gdyby Sejm zechciał rzeczowo pracować nad budżetem, to rząd nie uchyli się od współpracy, delegując swych przedstawicieli czy to na posiedzenia komisji budżetowej, czy też na plenum Sejmu.

Wczoraj wieczorem powrócił z Sulejówka do Warszawy Marszałek Piłsudski.

Sprawy, dotyczące preliminarza budżetowego, były przedmiotem narad najwyższych czynników państwowych.

Terror trwa.

Egzekucje na Litwie.

Podług ostatnich wiadomości przed kilku dniami z wyroku **Sądu Polowego zostali rozstrzelani w Koszedarach za szerzenie propagandy w wojsku oficer Karajtis i 5 żołnierzy.**

10 żołnierzy skazano na ciężkie roboty od 5 do 15 lat.

W tym samym czasie w **Kownie** za należenie do antypaństwowej organizacji **rostrzelano dwóch poruczników**, a 7-miu podoficerów skazano na ciężkie roboty.

Kłamstwo posła litewskiego w Londynie.

Jesteśmy proszeni przez przedstawicieli emigrantów litewskich posła Pieczkajtisa i p. Ancewicza do podania publicznie do wiadomości, iż oświadczenie posła litewskiego w Londynie Raczkowskiego, ogłoszone w Manczester Guardjan i zaprzeczające wiadomościom, jakoby Możejko, sekretarz partji S.D. w Litwie nie był rozstrzelany, **nie jest zgodne z prawdą.**

Możejko został rozstrzelany w Marjampolu z wyroku Sądu Polowego za należenie do nielegalnej organizacji, rano dnia 9 października.

Dokoła zgłoszenia akcesu Sowietów na konf. rozbroj.

PARYŻ, 2-XI. (Pat). Prasa zapatruje się naogół sceptycznie na motywy i znaczenie zgody Sowietów na wzięcie udziału w obradach przygotowawczej komisji rozbrojeniowej. Niektóre dzienniki zastanawiają się czy nie jest to wynikiem porozumienia się między Berlinem a Moskwą. „Ere Nouvelie" pisze, że jeżeli Sowiety rozpoczną debaty ożywione duchem Rapallo, to wynikiem tego będzie wzmocnienie się porozumienia niemiecko-sowieckiego. Jeżeli zaś przystąpią do narad w duchu paktu Ligi Narodów, to będzie to miało poważne znaczenie dla utrzymania pokoju światowego.

Wyniki wyborów municypalnych w Anglji.

LONDYN, (Pat.) Ostatnie doniesienia dotyczące wyniku wyborów municypalnych do Anglji i Walji z wyjątkiem Londynu, przedstawiają w następujących cyfrach zyski poszczególnych partyj: partja pracy 110 mandatów, konserwatyści 7, liberali 8, niezależni 15. Straty mandatów przez poszczególne partje wyrażają się w następujących cyfrach: partja pracy 11, konserwatyści 69, liberali 31, niezależni 27. Partja pracy zyskała mandaty głównie w okręgach przemysłowych.



Linoleoryt Kazimiery Adamskiej-Rouba.

HISTORJA „KURJERA WILEŃSKIEGO“.

Pisząc historję „Kurjera Wileńskiego“, powinno się właściwie napisać historję prasy demokratycznej w Wilnie, przynajmniej od czasu wyzwolenia Wilna, t. j. od 19 kwietnia 1919 r.

Historji tej jednak pisać nie będziemy, pozostawiając ją przyszłym historykom, poprzestaniemy jedynie na wyliczeniu protoplastów „Kurjera Wileńskiego“.

Protoplastami „Kurjera Wileńskiego“ w prostej linji od 1919 r. były: „Nasz Kraj“, „Gazeta Krajowa“, „Słowo Wileńskie“ i „Wileńska Gazeta Powszechna“. Wszystkie te pisma służyły tym samym ideałom, to jest demokracji w najszerszem tego słowa znaczeniu, interesom naszego kraju i jego mieszkańców bez różnicy na narodowość i wyznanie.

Wszystkie te jednak pisma z różnych względów upadły i był czas, kiedy demokracja wileńska pozbawiona była zupełnie jakiegokolwiek organu, w którym mogłaby wypowiadać swe myśli i propagować swoje ideje.

Lukę tę wypełnił „Kurjer Wileński“.

„Kurjer Wileński“ został założony w czerwcu 1924 r. Założycielem jego był p. Aleksander Kleczkowski.

Z początku było to b. skromne pisemko popołudniowe, borykające się z ogromnemi trudnościami materjalnemi, pozbawione zupełnie współpracowników i bez jakiegokolwiek oparcia w społeczeństwie. Mimo jednak wprost nieprawdopodobnych trudności pisemko to trwało kilka miesięcy. Nadszedł jednak czas, w końcu 1924 r., że zdawało się, iż podzieli ono los swych poprzedników.

Na szczęście, znaleźli się jednak ludzie, którzy w historji „Kurjera Wileńskiego“ powinni mieć najpocześniejszą kartę; byli to dwaj posłowie: Ludwik Chomiński i Marjan Kościałkowski. Zwłaszcza poseł Kościałkowski, który gorąco zajął się losami „Kurjera Wileńskiego“ i w krótkim czasie zdołał zgrupować koło siebie cały szereg ludzi, ożywionych ideą demokratyczną i przyszedłszy z doraźną pomocą finansową zdołał uratować go od śmierci.

W styczniu 1925 roku poseł Kościałkowski przejął od p. Aleksandra Kleczkowskiego pismo, powołując na redaktora naczelnego niżej podpisanego Józefa Batorowicza. W jakim stanie zastano pismo i w jakich warunkach trzeba było pracować, to lepiej nawet nie wspominać, dość nadmienić, że cała redakcja wraz z administracją musiała się mieścić w jednym małym, zrzadka opalanym pokoiku, przy ul. Wileńskiej 15, a redaktor jako jedyny pracownik zmuszony był wykonywać to wszystko, co w normalnych warunkach wykonuje cały sztab redakcyjny, a więc pisać artykuły, zbierać kronikę, robić depesze, korektę i łamać numer. Praca była wprost nadludzka, tembardziej, że i z „finansami“ różnie bywało.

Po miesiącu takiej „chłodnej, głodnej“ i prawie bez snu pracy, pismo zostało doprowadzone do możliwego stanu, a przy pomocy ludzi dobrej woli zaczęło się stawać poważnym organem, z którym naprawdę zaczęto się liczyć.

Z dniem 1-go stycznia 1925 roku został „Kurjer Wileński“ przekształcony na pismo poranne i rozszerzony do rozmiaru prawie takiego, jak obecnie.

Powstały nowe działy, które przedtem, z powodu szczupłości miejsca, nie mogły być wprowadzone.

Jednocześnie z rozszerzeniem ram pisma zaczęło się powiększać także i koło współpracowników.

„Skład redakcji“ pozostał jednak jeszeze ten sam, to znaczy jeden redaktor.

Dopiero w marcu 1925 roku pismo zdobyło się na jednego stałego współpracownika p. Stefana Klaczyńskiego i jednego reportera ś. p. Bronisława Ksoka.

W tym też miesiącu zaczęła pisać p. Helena Romer-Ochenkowska, która weszła później w skład redakcji, jako stała i cenna współpracowniczka. W tym składzie redakcja pracowała do czerwca. W czerwcu przybył jeszcze jeden współpracownik stały, a mianowicie korektor p. Zdanówicz.

Przy tych współpracownikach „Kurjer“ Wileński zasilany stale cennymi artykułami z różnych dziedzin takich dzielnych i wytrawnych piór publicystycznych, jak obecnego ministra reform rolnych p. Witolda Staniewicza, obecnego dyrektora Departamentu Wyznań p. Kazimierza Okulicza, obecnego referenta Instytutu Naukowo-Narodowościowego w Warszawie p. Marjana Świechowskiego, senatorów: Bronisława Krzyżanowskiego i Gaszyńskiego, posła Ludwika Chomińskiego, posła Marjana Kościałkowskiego, p. Stanisława Świaniewicza, Seweryna Wysłoucha, Romualda Węckowicza, Benedykta Hertzta, Tadeusza Łopalewskiego, Witolda Hulewicza. Adama Ludwiga i wielu, wielu innych — wytrwał aż do 1 lutego 1926 r.

Z dniem 1 lutego 1926 r. „Kurjer Wileński“ przeszedł w inne ręce, a mianowicie przejęli go obecni wydawcy, to jest Tow. Wydawnicze „Pogoń“ z p. mecenasem Witoldem Abramowiczem na czele.

Kierunek polityczny pisma pozostał bez zmiany.

W pierwszej połowie lutego tegoż roku nastąpiła reorganizacja redakcji, a mianowicie: naczelnym redaktorem politycznym został p. Kazimierz Okulicz, zastępcą niżej podpisany obecny redaktor Józef Batorowicz, dział gospodarczy objął dr. Witold Staniewicz, obecny min. Reform Rolnych, przegląd krajowego życia kulturalno-artystycznego objęła p. Helena Romer-Ochenkowska, recenzje teatralne, kronikę wydawniczą i sprawy literacko-artystyczne powierzono p. Tadeuszowi Łopalewskiemu.

Dla zapewnienia stałego kontaktu pomiędzy temi sferami społeczeństwa, których ideologji „Kurjer Wileński“ jest wyrazem, jak również w celu wzajemnego porozumiewania się i wymiany zdań został utworzony Komitet Redakcyjny, w skład którego w charakterze członków weszli pp. mecenas Witold Abramowicz, prof, Zygmunt Jundziłł, senator Bronisław Krzyżanowski, Zygmunt Nagrodzki, Stanisław Świaniewicz Marjan Świechowski i Romuald Węckowicz.

W składzie tym redakcja „Kurjera Wileńskiego“ stale rozszerzając koło swych współpracowników, przetrwała, aż do d. 22 czerwca 1926 r.

W dniu tym redaktor działu gospodarczego dr. Witold Staniewicz został powołany na stanowisko ministra reform rolnych.

Dział gospodarczy objął p. Stanisław Świaniewicz.

W lipcu tegoż roku, skład redakcyjny powiększył się o jednego współpracownika, a mianowicie o doskonałego publicystę p. Bolesława Wścieklicę.

Z dn. 1 września naczelny redaktor p. Okulicz został powołany na stanowisko dyrektora Wyznań przy Min. W. R. i O. P., redakcję zaś objął p. Marjan Świechowski, który pozostawał na tem stanowisku aż do powołania go na stanowisko referenta Instytutu Naukowo-Narodowościowego w Warszawie, redakcję zaś, jako redaktor polityczny objął p. Bolesław Wścieklica, który na tem stanowisku pozostawał do dn. 1 sierpnia r. b.

Z dn. 1 sierpnia redakcję objął, dotychczasowy zastępca redaktora Józef Batorowicz. Z początkiem sierpnia powstają nowe działy, jak: Przegląd Litewski i Bałtycki, świadczy o stopniowym rozwoju pisma.

Obecnie skład redakcji „Kurjera Wileńskiego jest następujący: redaktor Józef Batorowicz, sekretarz Mikołaj Zdanowicz, redaktor działu gospodarczego p. Stanisław Świaniewicz, Przeglądu Wileńskiego — p. Janusz Ostrowski, Przeglądu Bałtyckiego p. Kazimierz Błażewicz, sprawy narodowościowe prowadzi p. Seweryn Wysłouch, życie kulturalno-artystyczne p. Helena Romer-Ochenkowska, literatura i sztuka p. Witold Hulewicz i Tadeusz Łopalewski, dział muzyczny dr. Tadeusz Szeligowski, sport kpt. Tadeusz Kawalec kronika p. Hejbert, Eugienjusz Swianiewicz i p. Dąbrowski. Redaktorem nocnym i odpowiedzialnym jest p. Antoni Faranowski, korektorem p. Jurkiewicz.

Z tym zespołem rozpoczynamy dalszą pracę. *J. Batorowicz.*



Przyjazd amerykańskiego doradcy finansowego p. Deve'ya do Warszawy nastąpi z końcem listopada. Dla p. Deve'a urządził Bank Polski specjalne biuro.

„Temps“ o polsko-niemieckim traktacie handlowym.

PARYŻ. 2. XI. (Pat). „Temps“ w artykule „Polska a Niemcy“, omawiając możliwości zawarcia traktatu handlowego polsko-niemieckiego pisze, między innemi, że pomimo braku konkretnych wyników atmosfera od trzech miesięcy znacznie się wyjaśniła i obecnie istnieją poważne widoki, że sprawa ta zostanie nareszcie załatwiona. Niemcy przekonały się o nieskuteczności próby wywierania na Polskę presji i widzą, że cierpią skutkiem wojny celnej więcej, aniżeli Polska, która uzyskała nowe rynki zbytu dla swego węgla. Należy cieszyć się z tego obrotu rzeczy. Dopóki bowiem trwać będzie naprężenie stosunków między Polską a Niemcami, dopóty nie będzie można mówić o ostatecznem skonsolidowaniu stosunków w Europie.

Nowy gabinet turecki.

ANGORA, 2-XI. (Pat). Gabinet turecki podał się do dymisji, a prezydent Republiki polecił baszy Ismetowi utworzenie nowego rządu.

Na grobach bohaterów we Lwowie.

LWÓW, 2.XI. (Pat). Wczoraj w dniu święta umarłych wszystkie pułki lwowskie odwiedziły groby bohaterów na cmentarzu łyczakowskim. O zmroku na cmentarzu obrońców Lwowa odbyła się uroczystość poświęcona pamięci poległych. Gen. Norwid-Neugebauer w imieniu p. Marszałka Piłsudskiego złożył wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza, a drugi wieniec w imieniu własnem—na grobie Legjonistów. Delegacje ze sztandarami udały się również na cmentarz powstańców 1863 r., gdzie przybył też gen. Norwid-Neugebauer.

O konsolidację stronnictw chłopskich.

KRAKÓW, 2. XI. (Pat.) Jan Stapiński oświadcza na łamach „Przyjaciela Ludu“, że gotów jest w zupełności podporządkować się pod rozkazy sen. Jakóba Bojki, skoro celem jego jest zjednoczenie rzeszy chłopskiej dla poparcia rządu Marsz. Piłsudskiego i dla zwalczania jego przeciwników, którzy są jednocześnie przeciwnikami mas chłopskich. Zjednoczenie chłopów musi być uznane za naczelny rozstrzygający punkt programu polityki chłopskiej. Rozbicie na kilka stronnictw jest przyczyną bezsiły i upadku włościan w Polsce. Wszystkie trzy kluby włościańskie — oświadcza Stapiński — t. j. Stronnictwo Chłopskie, Wyzwolenie i Piast, powinny się skupić razem pod przewodnictwem sen. Jakóba Boj i i zadeklarować zgodę na wspólny kongres w Krakowie na Wawelu dla ułożenia jednego wspólnego programu jednolitego działania.

Kto wygrał dolarówkę.

WARSZAWA, 2.XI (Pat.). W dniu 2 b. m. odbyło się losowanie 5% pożyczki dolarowej, serja 2-ga.

Wylosowane zostały następujące numery:

Wygrana 8 tys. dolarów padła na numer 068599.

3 tysięcy dolarów—na numer 024613.

Po 1000 dol. wygrały numery 374302, 537012, 860038, 394168, 021731.

Nadto wylosowano 10 wygranych po 500 dolarów, oraz 40 premij po 100 dolarów.

Życie białoruskie.

Obchód 10 letniego jubileuszu Białoruskiej Szkoły Średniej.

1-go listopada r. b. w lokalu gimnazjum białoruskiego w Wilnie (Ostrobramska 9) zorganizowało T-stwo Białoruskiej Szkoły w Wilnie uroczystą akademję z racji 10-letniego jubileuszu białoruskiego szkolnictwa średniego.

Obchód odbył się z pewnem spóźnieniem wywołanem przez przyczyny natury czysto technicznej, ponieważ właściwa rocznica przypadała już na dzień 17-go września r. b. w tym to bowiem dniu przed 10 laty powstało w Słucku 17.IX 1917 r. pierwsze gimnazjum białoruskie, zorganizowane przez R. Ostrowskiego, późniejszego dyrektora gimnazjum białoruskiego w Wilnie, ostatnio zaaresztowanego i uwięzionego w związku ze sprawą „Hromady“ (istnieje ona i obecnie jako sowiecka „Dziewiaci hodka“).

Wyznać należy, że T-wo Białoruskiej Szkoły przygotowało się do uroczystości z należytym pietyzmem. Tak ślicznie udekorowanej sali i korytarzy nie widzieliśmy na żadnym z dotychczasowych przedstawień lub obchodów białoruskich w Wilnie, nie wykluczając najsolidniejszych, jak naprzykład obchodu 400-lecia druku białoruskiego. Skromna sala gimnazjalna, po kilka dni trwającej ofiarnej pracy białoruskiej młodzieży szkolnej, zmieniła się wręcz do niepoznania!

Na scenie,—dekoracyjna sala z kolumnadami, pośrodku — stół, świeczniki. Na ścianie z głębi sceny portrety założyciela 1-go gimnazjum białoruskiego w Słucku, ex-dyrektora R. Ostrowskiego i ś.p. Iwana Łuckiewicza jednego z najwybitniejszych działaczy odrodzenia białoruskiego, przystrojone festonami z liści dębowych. Nad sceną tarcza ze złotemi cyframi jubileuszowemi 1917—1927, spowita w girlandy z jedliny i ozdobiona 2-ma chorągwiami narodowemi. Tuż na lewo od sceny — *ad hoc* skonstruowane podjum dla gimnazjalnej orkiestry dętej.

Około godz. 8 mej wieczór, poczęły napływać liczne rzesze publiczności, szczelnie wypełniając salę... Orkiestra gra marsza... Przy stole prezydjalnym na scenie zasiada Zarząd Główny T-stwa Białoruskiej Szkoły w składzie następującym: A. Nekanda—Trepka i J. Sawicki (wice prezesi), oraz G. Szyrma (sekretarz).

Zkolei prezydjum zaprasza na honorowych członków: p. A. Ostrowską—b. nauczycielkę gimnazjum białoruskiego w Słucku; pp. E. Budźko i A. Hryniewicza założycieli gimnazjum białoruskiego w Budsławiu; J. Sznarkiewicza — b. kierownika gimnazjum białoruskiego w Nieświeżu; wreszcie obecnych dyrektorów gimnazjum białoruskiego w Wilnie—S. Pawłowicza i gimnazjum białoruskiego w Klecku—Jakubionka.

Rozpoczyna akademję — referat okolicznościowy p. Trepki na temat: *„10 lat istnienia białoruskiej szkoły średniej“*. Uzasadniwszy w początku potrzebę kształcenia młodzieży w mowie ojczystej, czyli potrzebę szkoły narodowej, prelegent zkolei zobrazowuje pokrótce martyrologiczne przeważnie dzieje rozmaitych gimnazjów białoruskich (nie wszystkich niestety), a mianowicie w Słucku (założone 17.IX.17 r. istnieje po dziś dzień), w Budsławiu (założone 15.I.18 r., zamknięta w 1920 tym roku), w Wilnie (założona 1.I.19 r. istnieje po dziś dzień; najstarsze obecnie i najlepiej postawione gimnazjum białoruskie w Polsce); w Nowogródku (1919 r.); w Nieświeżu (1921 r. zwinięte w r. 1923-im w Radoszkowiczach (1922 r.) i w Klecku (1924 r.).

Pozatem istniały jeszcze przez pewien czas gimnazja białoruskie w Grodnie, Gródku, a nawet podobno w Świrze i Lidzie.

Po przemówieniu p. Trepki, zabrała głos p. Ostrowska, żona uwięzionego dyrektora, komunikując obecnym przywitanie od męża; przemówienie jej powitano grzmotem oklasków, uchwalając jednogłośnie tekst depeszy okolicznościowej do p. Ostrowskiego.

Następnie przemawiali nauczyciel W. Hryszkiewicz i p. Tarasiuk, uczeń 5-ej klasy gimnazjum Białor. w Wilnie. Zkolei nastąpiło odczytywanie gratulacyj nadesłanych z racji jubileuszu między innemi od p. Ćwikiewicza z Mińska, wreszcie od komisarza oświaty Białorusi Sowieckiej Balickiego.

Po odczytaniu depesz i listów zabrał powtórnie głos wice-dyrektor Trepka witając w imieniu T-wa Białoruskiej Szkoły, wszystkie obecnie istniejące gimnazja białoruskie. Przemówienie jego zakończyło urzędową część I-szą obchodu.

Po przerwie nastąpiły urozmaicone produkcje wokalno-muzykalne, które wypełniły część II-gą i III-cią obchodu.

Wśród gości zauważyliśmy: redaktora L. Abramowicza, senatora Bohdanowicza, posła Barana, dra K. Wieleckiego, d-ra Olsejkę, d-ra Szabada i innych

Dopiero około 12-ej w nocy opuścili zgromadzeni gościnne podwoje gi nazj lne.

K Smreczyński.

NA MARGINESIE.

Przy placu Łukiskim.

— „Pani Wincentuowa gdzie leci?

— Ach jej Józefuoweczka milińka, ot podskocz ze mno na Łukiszki, bardzo ja tam mam obojętny interes, trzeba mie na jednej nodze jak widzisz, schodzić i wrócić sie“.

„Gdzie, co mówi, ci nie żulików jakichści idzie odwiedzać? Nie już kto znajomy siedzi?“

„A tfu! Nie taka moja familja żeb ja w turmie miała, powinowatych lekatorami, że ślachetnej moja kuma familji jestem i moje familjanty wszystkie ućściwe ludzie so“.

„Nu dek czegoż leci, przepraszając jak z piórkiem“?...

„Tego, że niechaj uoczy moje jeszcze napatrzo sie na moje Łukiszki kochanieńkie, a to słysze teraz masony siądły w Magistracie, nu w uprawie nazywa sie, dobre katoliki przepędzili i będo teraz wyrabiać sie po całej Wilni“.

„Ach Ty Jezu! To tego i deszcz tak padał na koronacja, anieli płakali po panu Bańkowskim znaczy sie“.

„Aha, nu tak patrzaj Pani co zmyślili, będo, mówio, Łukiszki po farmazońsku przekręcać, jakieści puorządki robić, drzewki sadzić, klomby, brukować całutki plac, kto wie co, kramy wynosić, nu lewurucja i więcej nic, to niechaj ja ich kochanieńkich jeszcze obaczę, nacieszę się“.

— „Ach nie żyjen ja na świecie! prawda że nadto błoto, buty psuło, ja była wtamten miesiąc kupiwszy to ze wszystkiem drenne, teraz podeszwy rozdziawiwszy się, grzeszne ciało ukazują, prawdaż że śmieci w nos lecieli, że tylko ty kichaj jak tabaki zażywszy, ale zeby już ty jego brukuj, już ty jego zmieniaj... nie, moja Pani, to już nie po naszemu, prawdy mówiła moja nieboszczyca ciuocia—„zaimpeciwszy sie wszystko popsujesz“.

— „A czekaj Pani jeszcze co będzi, radio jak zrobio, całe miasto drutami oplączo i co gdzie kto głos jaki wyda, to tusiące narodu będzi słuchać“.

— „Co Pani mówisz!?“

— „Nie mam ja czasu opowiadać, innego dnia podejdzi milińka do mnie dek pokulim sie do jakiego redachtora to posłuchasz co to za dyjabeł — z maszyny gada, ci niemiec ci bolszewik ruski, o sto mil“.

— „Nie duszeczka, kumeczka, do żadnej Redakcji ty mnie nie namawiaj, oni mnie tak opaszkudzili, takie na mnie figli wymyślali, gazetniki te przeklęte, że niechaj ich wilcy!... Dasz Pani wiara, że mówił mnie woźny, grzeczniutki człowiek, że jeszcze i płacili im gotowym groszem za ta moja krzywda, za mój styd wdowienski, za to że oni naademno koposzo sie i kto wie co zmyślajo 1000 razy“... *Kiks.*

WILEŃSKI KURJER LITERACKI.

Z WIECZORU POETÓW WILEŃSKICH.

Dnia 31 b. m. odbył się w sali gimnazjum im. Słowackiego wieczór autorski dwóch poetów, których tomy poezyj ukażą się w najbliższych dniach nakładem F. Hoesicka w Warszawie: Witolda Hulewicza (p. t. „Sonety instrumentalne") i Tadeusza Łopalewskiego (p. t. „Piękna podróż"). Drukujemy tu kilka wierszy na tym wieczorze recytowanych. *Redakcja.*

WITOLD HULEWICZ.

SONETY INSTRUMENTALNE.

Z CYKLU „TEŻ INSTRUMENTY"

P I E C.

Gdy nam ciepło płynie oknem, on nic nie znaczy.
Aż gdy wicher szarpnie drzwiami — on pierwszy wtedy;
nuże w prośby — a on, zimny, wcale nie raczy
i dymiący zgasłem sercem, szydzi z twej biedy.

Potem wreszcie się przeprosi, już się nie gniewa,
że tak w kącie, całe życie... Kaflowem łonem
tchu zaczerpnął i już śpiewa, na wystrzał drzewa
nastrojony pokojowych cisz kamertonem.

Szczypta piekieł, oswojona jak zwierz pod knutem.
paszczą ognia zieje ciepło przez czarne kraty
i akordem wdechu syczy, a okiem lutem

dobro czyni, chociaż postrach szerzyć mniema,
i na izbę chlasta żywe i krwawe płaty.
(Miech i oddech na instrument, którego niema).

P I Ł A.

Bolesne zwarcie wiosennego drzewa
z zakrzepłą stalą: w żywe ciało pienne
wżarła się ostra żmija, — i soki wiosenne
pijąca szklisto, — monotonnie śpiewa.

Dźwięk z jęku, świstu, chrobotu i złości,
plujący trocin wonnemi śniegami;
dzwoniącej szczęki zimnemi rytmami
ujęty w system karnej wydajności.

Krwawi żywicznie wąska rana,
a całe drzewo jest protestu sękiem,
gdy gama zębów chutna i rozgrzana

przerzyna słoje — aż duszę rozpłata.
Pien z nóg się zwali z rozpaczliwym jękiem,
a piła w słońcu na nim, jak fermata.

J A Z Z.

Za woalami ostro wiercą pstre perfumy.
Rżnięte smyczki, trzaski, szklanki, kwiki, szumy.
I przegięte nagie plecy, chuć zadumy.
Łypią białka. Mrużą lampy. Mdleją tłumy.

Z synkop dziury rosną w zmysłach i w pamięci
Ramion wzdrygi. Chwiejność kolan. Uśmiech nęci.
Wszyscy w rytmach ciemnoskórych jak zaklęci,
gdy saksofon, smętny wyjec, młyńca kręci.

Przerażone, rozgromione nuty, tony,
czarty, kwarty, seksty, tercje, kwinty, nony
obłąkane zbiegły się w ten punkt szalony,

gdzie pałeczki flagelanckie takty biją,
nogi skaczą, skrzypce dziką trąbą wyją.
Czarny Sabat z piękną kolją: żywą żmiją...

SAMOWAR.

Oswojony i wierny instrument dęty
równo pracuje w kącie, jak tłoki pomp.
Coś ma z lokomotywy, coś z ciężkich trąb;
z rogu jadalni ciemnej blask razi sprzęty.

W brzuchatem złotem lustrze pamięć odbija
krzywo dawne obrazy, przesadne rysy
i te ręce matczyne, wątłe irysy—
i wszystko co jest ciepłe, wszystko co mija.

Samowar w kręgu lampy dostojnie oddycha
i zza mosiężnych zębów węgielkami błyska.
Wzdęty kocioł żarliwy cichą parą prycha

i monodje rodzinne syczy jak zdaleka,
co w czysty wrzątek soczą z żywego ogniska
ciemną, gęstą esencję przyszłego człowieka.

Z CYKLU „MIASTO POD CHMURAMI".

WILNO.

Głównym dźwiękiem jest litera „i",
której nie znają mali ani źli.
Ten sam dźwięk, co prześwietla słowo „Litwa" —
a „Litwa" to większość słowa „modlitwa"...

Wilk, Wici, Wiosna, Witold, Wierność i Wigilja,
Więź, Wieczerza, Wijatyk, Wilenka i Wilja,
Winnica, Wiosło, Wiara, Wiersz, Wicher i Wieniec:
oto na twych stuleciach młodości rumieniec.
Wielmożność, Wieść, Wielbienie, Wiedza i Widzenie:
oto twoje chorągwie, oto krwi strumienie.

Imię Wilna jak fala, jak płyn.
Imię Wilna, jak szala, jak czyn.
Imię Wilna jak śpiewna wiola.
Imię Wilna jak zórz aureola.
Imię Wilna jak pośmiertny bezzamęt:
Imię Wilna jak powrotny ornament.
Imię Wilna jak ofiarny dym.
Imię jak rym.

ULICA MICKIEWICZA.

Co znaczy ten pozór z gadatliwą blagą?
To niby wielkie miasto, frazes połowiczny?
Te okna, te witryny i zgiełk kamieniczny?
Ten obcy tynk, co kryje hipokryzję nagą...?

Nikt ci, ulico, tutaj nie uwierzy,
zmienić miasta nie zdołasz; maluczko, a wszędzie
rój cię staruszków upiornie obsiędzie:
tu plac Łukiski, a tam święty Jerzy...

Tak jedyne masz imię, a taka niegodna!
Łypiesz ślepiami kin, masz malowane wargi,
dniem śpieszysz się do biura, nocą brudne targi
uprawiasz dla pieniędzy, ty, chłopczyca modna.

Leżysz długa i szara nakształt zmiętej lilji,
wielka, lecz od najmniejszej biedniejsza ulicy.
Skazana, aby wiecznie od starej dzwonnicy
bez tchu biec, aż nie wpadniesz do rodzicy Wilji.

TADEUSZ ŁOPALEWSKI.

O BOGU I ŚMIERCI.

W sama zimę akurat, a nie latem lub wiosną
Bóg się spotkał ze Śmiercią pod przydrożną gdzieś sosną,
A że byli oboje jak śnieg czyści i biali
Ani widać ich było jak pod drzewem gadali.

„Użal Ty się nademną, Wiekuisty",— Śmierć rzecze:
„Już mnie nawskroś przeżarły łzy i płacze człowiecze,
Na śmierć jestem znużona, bo nad siły to męka
Słuchać jak to raz po raz serce ludzkie gdzieś pęka.

Otom dzisiaj zabrała niedorosłą dziecinę,
Więc na Ciebie i na mnie ból i klątwy matczyne —
Jak psy gonią mnie wszędzie oszalałe rozpacze:
Uczyń, jeśli Twa wola—niech się stanie inaczej"...

Pilnie Pan jej wysłuchał i nie chwytał za słowo,
Jeno kiedyniekiedy skinął siwą Swą głową,
Jeno w pole spoglądał jak zawieja tam hula
I uważał Bóg Ojciec co Śmierć mówi matula...

„Nic nie zdziałam, „rzekł zwolna" ani nie dam sposobu —
Samżem Syna przepłakał składanego do grobu,
Jedną tylko osłodę mając w gorzkiej Swej ranie
Iżem widząc śmierć Jego widział też zmartwychwstanie.

Nie zobaczy nikt tego człowieczemi oczyma,
Ale serce matczyne sroższe ciosy przetrzyma —
Idź więc zaraz do matki, co obojgu nam bluźni,
Weź jej serce i przynieś do tej oto mi kuźni".

Z temi słowy wszedł Pan Bóg do wioskowej kuzienki,
Ogień w piecu rozdmuchał, młot wziął ciężki do ręki,
A już Śmierć mu posłuszna bez najmniejszej mitręgi
Niesie serce czerwone zaciśnięte w obcęgi.

Niesie serce zacierpłe i na Boskie skinienie
Jak ułomek żelazny rzuca w huczne płomienie
A gdy w ogniu żarliwym jak opłatek pobladło
Śmierć czeladnik je kładzie na ogromne kowadło.

Jak się wtedy zamachnął Bóg, straszliwy serc kowal,
To aż młotem dosięgnął od podłogi do pował
I jak gruchnął młociskiem w słabe serce matczyne
To aż niebo zadrżało ciemne z lęku i sine,
Aż się wierzby pokładły na dalekim ugorze
Aż przepaście i góry zajęczały—„O, Boże"...

A te iskry co rojem wyleciały z pod ciosu
Jako gwiazdy zawisły na sklepieniu niebiosów,
A ten pogłos kowadła jak muzyka otchłanna
Archaniołom ton podał i śpiewały: „HOSANNA"...

Bóg młot z ręki wypuścił, otarł czoło spotniałe
I z kowadła zdjął serce nie pęknięte, lecz całe,
I rzekł Śmierci, co pierwszy raz w swem życiu zadrżała:
„Serce matki jest wieczne, bo jest wolne od ciała"...

Cmentarzysko z roku 1656 na ul. Mickiewicza.

Niedawno na ulicy Mickiewicza naprzeciw Banku Polskiego przy kopaniu rowów kanalizacyjnych natrafiono na ślady cmentarzyska, przypuszczalnie z XVII wieku, na którem chowano żołnierzy w roku 1656 w czasie walk z najeźdźcami moskiewskimi. Przedewszystkiem wykopano dwumetrową trumnę, wydrążoną prawdopodobnie w kłodzie sosnowej.

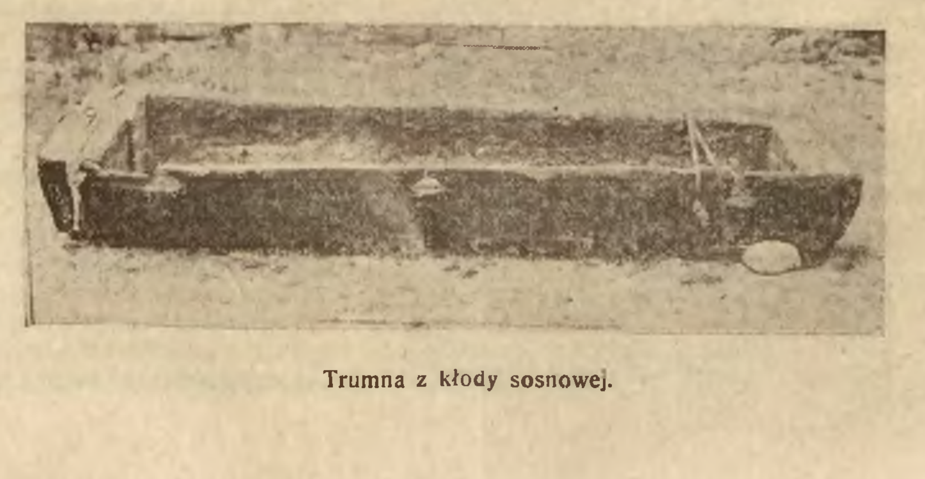
W trumnie znaleziono b. ciekawy okaz kunsztu szewskiego z przed 270 lat— bardzo dobrze jeszcze zachowany, zrobiony z jednego kawałka skóry- łapeć, którego ilustrację zamieszczamy obok. Wyjęty z uwidocznionej powyżej trumny szkielet przewieziony został do pracowni antropologicznej w Wilnie, gdzie dokonano nad nim pomiarów.



Szkielet wykopanego żołnierza z roku 1656.



Okaz kunsztu szewskiego z przed 270 lat—łapeć.



Trumna z kłody sosnowej.

TADEUSZ ŁOPALEWSKI.

SONETY WILEŃSKIE.

ZA TAMĄ WZGÓRZ.

Rozmaicie jest w świecie, ale nie tak samo
Jak tutaj na uboczu wielkiej Europy
W tem mieście, gdzie się wchodzi najpierw Ostrą Bramą
Z czapką w ręku jakgdyby pod kościelne stropy.

Jak w przystani bronionej wzgórz wysoką tamą
Przed złą dolą płynącą za człowiekiem w tropy —
Tak tu dusza skalana czarną cierpień plamą
Zanurza się z modlitwą w najczystsze hyzopy.

Złota cisza zaułków i murów milczenie
Jak łaska wszechlitosna są w każdej iskierce
Słońca, które zagląda w podwórza i sienie

I na krzywych poręczach rozwiesza kobierce
Blasków swoich w dziwaczne składanych desenie —
Jeden motyw powraca w ich wątku, — to serce...

ZAUŁEK BERNARDYŃSKI.

Jak miedza dzieląc lekko domów szare łany,
Gdzie się białe obłoki, jak puch wonny kładą,
Prowadzisz nas okolnie w świat oczom nieznany
Pod tą zwartą jak klamra koronna arkadą.

Narazie nic nie widać, tylko tęgie ściany,
Patrzące wdół niechętnie okien barwą bladą,
Aż nagle na zakręcie, jak akord różany
Wzlatujesz w niebo świątyń i wieżyc gromadą.

Tyś pokorny przewodnik do Mekki pamiątek,
Zaułku zawsze pusty a od duchów tłumny,
Które garną się zewsząd w twój ciemny zakątek.

Od wszystkich ulic cichszy, a nad wszystkie dumny
Wspomnieniem, co prześwieca przez wieków patynę:
Tutaj mieszkał Mickiewicz i pisał Grażynę...

PIEŚŃ O WOJNIE I MIŁOŚCI.

FRAGMENT VI.

Nie na tarczach ich niosą waleczni witezie.
Wóz chłopski słomą słany do domów ich wiezie.
Drogami piaszczystemi ciągną pełne fury,
Leżą chłopy jak snopy twarzami do góry.

Słońce spojrzeć się boi w otwarte ich oczy,
Więc jak pocisk zbłąkany po chmurach się toczy,
Za borami, lasami twarz bladą ukrywa,
Uciekając od pól tych, gdzie skonczono żniwa.

Żęli, rżnęli, hulali jak na wielkiej stypie,
Z głów jak z kłosów dojrzałych ziarno w piach się sypie,
Z głów jak z kłosów czerwone wymłóca się ziarno
I wyrasta na ugorach zielenią cmentarną.

A oni dojeżdżają do miejskich rogatek
Między ręce otwarte żon, dzieci i matek,
Omijają zdaleka bramy triumfalne
I wjeżdżają, wjeżdżają w dziedzińce szpitalne.

Pokłoniły się nisko chorągwiane żerdzie:
Z chlebem serca, z łez solą wyszło Miłosierdzie:
Na kolanach uklękło, z czołem w prochu czeka
Na te wozy po dniach grozy wracające zdaleka.

Więc dłonie pełne tęsknoty opadły nagle bezradnie.
Któż w tych bryłach skrwawionych dziecka kształt drogi odgadnie?
Byłoż wam, matki, synów w boleściach rodzić i męce,
By dzisiaj zimne ich głowy na ścierpłej kołysać ręce?

Byłoż wam zaprzysięgać mężom dozgonne śluby,
By dzisiaj przyjąć do łoża ich opuchnięte kadłuby?
Patrzycie wzrokiem kamiennym, okiem żałobą podkutym
Jak kuśtykają na kulach krótko obcięte kikuty,

Patrzycie źrenicą szklaną, ciżbą przyparte do muru,
Jak powiewają na wietrze puste rękawy mundurów,
Jak bielą, bielą się w tłumie twarze spowite w bandarze —
Szczęścia waszego fantomy, serca waszego miraże...

Wraca pochód żałobny, niesie na marach ofiary:
Nad klęską waszą i łzami zwycięskie wieją sztandary,
Przez trąb gardziele miedziane i fletów wąskie przełyki
Tryskają w niebo strumieniem radości dumne okrzyki.

W bębnach wrzących łoskotem, jak w rozpalonych saganach
Krew się jeszcze gotuje, ogniem orkiestry zagrzana,
Na hełmach hardej piechoty, orłów okrytej skrzydłami
Glorje płomienne się palą, stalą błyskają i skrami.

Dzwonią o białe kamienie srebrne podkowy konnicy
I gęste basy baterji płyną łożyskiem stolicy.

Przeszli przez miasto krzyczące, miasto triumfem pijane,
Weszli w ciche koszary tak długo nieoglądane,
Umyli w wodzie studziennej prawice żelazem zbrojne,
Gotowi bronić pokoju, bronić pokoju przez wojnę!!.

JANINA KIRTIKLISOWA.

JESIEŃ.

Gasła wolno, jakgdyby świetna Kurtyzana,
Na tle złota, purpury, bursztynu i słońca,
Odchodziła wśród ciszy dostojna, milcząca,
Tęsknym krzykiem żórawi ciągnących żegnana.
  Tkały dla niej przepyszną szatę pogrzebową,
  Błękitne, chłodne świty i srebrzyste rosy,
  Litośnie ją tuliły lilijowe wrzosy,
  A drzewa smutne bajki szemrały nad głową.
Słońce chorą kochankę czasami całuje,
Ale jakoś zdaleka i jakby z litości,
Jak ostatni przyjaciel króciutko zagości,
I w szare chmur kolisko szybko się zasnuje.
  A wichry jej śmiertelne hymny smutnie grają,
  I na twarz z krwawych liści całuny rzucają.

Witold Hulewicz.

Faust wiecznie żywy.

I.

(Rachunek sumienia... cudzego. — Oddźwięk prasy europejskiej. — Sprawa „Polskiego Fausta" trwa).

Kiedy w początkach zeszłego roku warszawski Teatr Narodowy wystawił (równie pompatycznie, jak niezręcznie) pierwszą część „Fausta" Goethego w przekładzie *Emila Zegadłowicza*, — rozgorzała w prasie zacięta walka na temat tego tłumaczenia. Krytycy rozbili się na dwa obozy. Wśród przeciwników najgłośniej brzmiał głos znakomitego tłumacza i znawcy literatury francuskiej, świetnego stylisty i wybitnego krytyka, *Tadeusza Boy'a Żeleńskiego*, który przekład Zegadłowicza odsądził niemal od czci i wiary. Przeciwko Boy'owi zwrócił szpadę polemiczną nasamprzód *Stanisław Miłaszewski*, a potem piszący te słowa. Nie chcąc powtarzać tu szczegółów ostrego pojedynku, odsyłamy ciekawych do broszury, która reasumuje obustronne pchnięcia i razy. [1]) Przypomnimy tylko, że wówczas żaden z przeciwników nie skapitulował, a broszury powyższej autor dowiódł Boy'owi, że cytował nieściśle i rękopis Zegadłowicza znał tylko z fragmentów, a zatem sądami swemi skrzywdził poetę—tłumacza. Na tem półtora roku temu urwała się walka i miecze pordzewiały.

Polemikę rozstrzygnąć musiał fakt, który nastąpił ubiegłej zimy: ukazanie się w druku, dzięki wspaniałej inicjatywie wadowickiej księgarni Fr. Foltina, „polskiego" Fausta zegadłowiczowskiego w całości, czyli pierwszej i drugiej części w szacie zaiste pomnikowej.[2]) Tu już na podstawie nie przedstawienia i nie rękopisów scenicznych, lecz pełnego tekstu dzieło polskiego poety przemówiło do każdego. Oddźwięk znalazło szeroki. Rozeszła się wielka ilość arcydzieła w dwóch tomach, których cena musiała być niestety zbyt wysoka na kieszeń przeciętnego inteligenta. W pismach polskich posypały się liczne recenzje. Przekładem zainteresowała się blisko prasa zagraniczna. W pismach czeskich i niemieckich pojawiły się liczne i sążniste artykuły, pisane nieraz z niepospolitem znawstwem nietylko pierwowzoru, ale i języka polskiego i naszej psychologji (n. p. w „Prager Presse", Berliner Tageblatt", „Frankfurter Zeitung"). Te krytyki dlatego nas tu interesują, że tworzą one jeden zgodny i wyraźny chór zachwytu nad cudownym przekładem Zegadłowicza. Prasa polska również przyznała temu tłumaczeniu bezwzględną wyższość nad wszystkiemi polskiemi wersjami „Fausta". Wytykając pewne dowolności i usterki, wszyscy recenzenci wydania książkowego chylą czoło przed zdumiewającem natchnieniem polskiego przekładu.

Zdawałoby się, że po pewnym czasie najzagorzalsi polemiści zprzed roku, a przedewszystkiem Boy-Żeleński (który wówczas wytaczał najcięższe armaty „argumentów" na pogrzebanie swego młodego kolegi po piórze) — podejmą oto rękawicę, rzuconą im pośrednio przez powszechną opinję krytyków polskich i zagranicznych. Zdawałoby się, że albo—albo. Albo przyznają z męską prostolinijnością, że się w pierwszym swym sądzie pomylili, i tę pomyłkę wytłumaczą—albo też, obstając przy pierwszej swej tezie, dowiodą na podstawie edycji książkowej, że „Polski Faust" Zegadłowicza składa się jednak z „paru tysięcy lichych wierszy". Nic podobnego nie nastąpiło. W obozie przeciwników panuje głucha cisza. Nawet „Wiadomości Literackie", w których Jan Lechoń rok temu z typowym tupetem zainicjował eksplozję niezupełnie apetycznych substancyj w „obronie" Boy'a, — nawet one milczą i do dziś dnia nie napisały od siebie recenzji o dwutomowym przekładzie „Fausta" Zegadłowicza. Pozostaje więc jeden tylko wniosek dla objektywnych świadków tej „wesołej wojny": stare przysłowie—*Qui tacet, consentire*, a raczej—*se ipsum accusare videtur.*

Sprawa „Polskiego Fausta" na tem bynajmniej się nie skończyła. Zaczęła się dopiero—i, jak widzimy, w pierwszym swym okresie stanęła pod szczęsną gwiazdą. Otwarła się kwestja scenicznej realizacji „Fausta" w Polsce. Bo „Faust" Goethego, trzeba to wiedzieć, nigdy w Polsce zrealizowany nie był. Ani przed wojną, kiedy go próbowano kopjować według „sztamp" niemieckich. Ani rok temu w Teatrze Narodowym, gdzie najgorszym manjerom operowym narzucono pseudo-nowe szatki. „Faust" w Polsce dopiero będzie. Ale dziś już możemy wierzyć, że będzie. Rękojmią pierwszą jest podstawa stworzona przez arcy-sceniczny i arcy-poetyczny tekst Zegadłowicza (Druga Część prześciga jeszcze Pierwszą, a zakończona jest z rozmachem porywającej inspiracji). Pozatem arcyludzkim tym dramatem zaczynają się poważnie interesować polscy plastycy i polscy twórcy teatralni, Zbigniew Pronaszko umieścił w wydaniu foltinowskiem szkice dekoracyj scenicznych obu części dzieła. Teatry w Krakowie i Poznaniu przygotowują się (dobrze, bo powoli) do przyoblecznia dramatu w kształt teatralny. Interesują się tem zagadnieniem dwaj najpoważniejsi ludzie teatru w Polsce: Juljusz Osterwa i Leon Schiller.

A oto mamy do zanotowania nowe wydawnictwo, z powyższą sprawą bezpośrednio związane, świeżo w Poznaniu wytłoczone, którego autorem jest plastyk i literat w jednej osobie. Książka, a raczej album, o którem mowa, zasługuje na więcej uwagi.

II.

(Były ekspresjonista. — Autor inscenizuje, opisuje i ilustruje swoje pomysły. — Faust ucieleśnia się powoli).

Do zbiorowej pracy nad urzeczywistnieniem polskiego kształtu scenicznego dla „Fausta" wprzągł się ostatnio nowy, młody entuzjasta. Jest to poznańczyk Artur Marja Swinarski, którego praca p. t. „Widowisko o Doktorze Fauście", wydana jest estetycznie i luksusowo w formacie albumowej ćwiartki. *)

Na wstępie słówko o autorze. Jest to bardzo uzdolniony artysta-malarz, jeden z plastyków, którzy w swoim czasie pierwsze swe kroki stawiali na tle śmiałej i buńczucznej grupy „Zdroju", kiedy jeszcze nikt w Polsce o „nowej" sztuce nie myślał. Bujny temperament i zuchwała inwencja Świnarskiego nie były jeszcze wówczas ujęte w karby długiej pracy i precyzyjnego rzemiosła. To samo zresztą można było powiedzieć o większości tej grupy szturmowej; a było ich dwunastu. Sześciu plastyków: Jan Wroniecki, Stefan Szmaj, August Zamoyski, Władysław Skotarek, Stanisław Kubicki i Artur Swinarski.

Sześciu pisarzy: Jerzy Hulewicz (zarazem malarz) i brat jego Witold (ówczesny Olwid), Adam Bederski, Zenon Kosidowski, Emil Zegadłowicz i ś. p. Jan Stur. Jakże odmiennemi poszli drogami, kiedy się rozproszyli w roku 1921 po wydaniu 78-miu zeszytów „Zdroju". Jakże niepodobni są do siebie dzisiaj prawie wszyscy wśród nich, nawet wewnątrz pokrewieństw fizycznych. Poszedł i swoją drogą Swinarski. Po długiem milczeniu dał zbiorek poezyj p. t. „Harakiri" (Lwów 1924), w którym pogoń za sensacją a tout prix wcale nie była jeszcze przezwyciężona. Po dwóch latach wydaje wiersze „faszystowskie" p. t. „Eja. Eja. Alala", prężne, miejscami zawadjacko świeże, rosnące. Teraz występuje z pracą w dziedzinie plastyki teatralnej, do której miał pociąg i talent oddawna.

Tekst „Widowiska o Doktorze Fauście" powinien przeczytać nietylko malarz, dyrektor teatru i aktor, ale każdy „porządny człowiek". Znajdzie w nim sporo szczegółów z historji Fausta scenicznego, nie ujętej w wyczerpujący zarys, ale podanej w barwnych skrótach. Znając tekst dramatu, śledzić będzie z zaciekawieniem bieg myśli Swinarskiego, który kolejno przechodzi wszystkie akty obu części, skreślając sceny, inne łącząc ze sobą, przesuwając i szeregując. Swinarski poczyna tu sobie zgoła indywidualnie; nie zapatrzył się ani w Witkowskiego (znanego krytyka i goethologa, Niemca), ani w Reinhardta, ani w najnowszego inscenizatora, aktora Mederowa.

Poza jednak „ołówkową" raczej pracą kreślenia autor rozprawy dał więcej: dał rzuty projektów praktycznej inscenizacji—w słowie i w rysunku własnym. Nie możemy tu wchodzić w całość biegu jego ciekawych pomysłów, aprobować jednych, a polemizować z innemi. Potrącimy tylko o niektóre szczegóły.

Rzuca więc Swiniarski dość zasadniczą tezę: występuje przeciwko systemowi kotarowemu w „Fauście". Pisze (str. 17): „Ów system kotarowy w dekoracji, który wszedł przed kilku laty w modę, ma swe zalety: można na tle kotar grać szepty Maeterlincka i niedopowiedzenia Norwidowe: dekoracja przekrzyczałaby je może. Lecz silne słowa Goethego nie tylko wytrzyma dekorację, lecz nawet, jak słowo Szekspira, jej potrzebuje: potrzebuje architektury, czy to wnętrza, czy pejzażu". Teza ta, jak każda, ma swoje za i przeciw.

Połączenia scen i skróty są prawie wszędzie zupełnie słuszne i nie naruszają ducha utworu. Trafna jest uwaga, że w myśl tekstu Żegadłowicza należy i w dekoracjach i kostjumach zniwelować historyczno-niemiecki charakter tła (n. p. w początku Drugiej Części, na dworze cesarskim). Natomiast Swinarski wierny jest, gdzie potrzeba, wymaganiom stylu gotyckiego, „adoptując" go umiejętnie do praktycznych potrzeb swoich koncepcyj.

Wśród rysunków autora wyróżniają się szkice: pracowni, izdebki Małgorzaty, ogrodu Marty, więzienia i cmentarza. Niektóre inne, n. p. Prolog do II Części i Port, efektowne w rysunku, w praktyce trafią w cel lub go chybią zależnie od dwóch decydujących w takich prymitywizacjach czynników: światła i barwy.

Książkę uzupełniają liczne ilustracje z pomysłów Reinhardta, Drabika, Baumbergera, Szpingiera, Barlacha, Pronaszki i... samego Goethego, — oraz prześliczna wczesnogotycka „Pieta" z Wągrówca, niestety nawet Polakom prawie nieznana.

Strona wydawnicza (papier kredowy ze względu na klisze, wykonanie tych klisz, układ graficzny i stylowa okładka) są chlubą nietylko Swinarskiego, ale i Księgarni Uniwersyteckiej Fiszera i Majewskiego, drukarni Uniwersytetu Poznańskiego i zakładu chemigraficznego A Fiedlera w Poznaniu.

Praca Artura Swinarskiego jest uwagi godnym krokiem naprzód ku urzeczywistnieniu „Fausta" w Polsce, a zarazem pięknym i młodzieńczo żywotnym dowodem nieśmiertelności tego arcydzieła w płaszczyźnie lektury zarówno, jak w ucieleśnieniu prawdziwego teatru.

Zmierzamy powoli do znalezienia wyrazu naszej epoki temu tytanicznemu wzlotowi myśli natchnionej wiary człowieczej. Wyrazu tego jeszcze w Polsce nie znaleźliśmy. To, że się on rodzi powoli, zbiorowo — jest znakiem dobrej wróżby.

[1]) *Witold Hulewicz.* **Polski Faust.** Rzecz o nowych polskich przekładach, o sposobach tłumaczenia i o polemice dookolnej. Warszawa 1926. Stron. 66.

[2]) **Faust Goethego.** Tragedji Część Pierwsza. Stron 240. Tragedji Część Druga. Stron 260. Przekład *Emila Zegadłowicza*. Portret Goethego i okładkę wykonał Franciszek Siedlecki. Nakład i druk Fr. Foltina w Wadowicach 1927. Podobizna ilustracji muzycznej Ludomira Różyckiego. 7 zdjęć z Teatru Narodowego, 7 szkiców scenicznych Zbigniewa Pronaszki.

*) *Artur Marja Swinarski.* Widowisko o Doktorze Fauście. Poznań 1927. Fiszer i Majewski, Księgarnia Uniwersytecka, stron 52, rycin 30.



Biskup birminghamski, dr. Barness, zwolennik teorji Darwina, którego chciał wypędzić jego przeciwnik, a jednocześnie przeciwnik teorji Darwina, rektor kolegjum londyńskiego, Webster, z kościoła św. Pawła. Skandal w kościele św. Pawła wywołał panikę wśród obecnych właśnie na nabożeństwie wiernych. Sprawa ta jest obecnie przedmiotem ożywionych dyskusyj w towarzystwie londyńskiem.

EUGENJA MASIEJEWSKA.

SAMOCHÓD.

...Skręt...
terczący szelest wartkich kół
i nagły ciała rzut w powietrze...
Do góry... w dół
pęd!
Za nami ognie dworca... bledsze,
przed nami... w chmurach... nocna trwoga...
A lśniące oczy — reflektory
hypnotyzują bladą drogę
niesamowicie wstecz lecącą.
Jak potwory
stłoczone groźnie z prawa... z lewa,
olśnione blaskiem... złe... milczące
migają drzewa...
Chce zamknąć drogę skłębiony tłum —
daremnie!...
Lot... wicher... szum!...
i byle dalej!... w przepaść... w ciemnię,
w miast gigantycznych grom i błysk,
w nieznaną pieśń zbudzonych sił
pęd... pęd... pęd!...
Powstaje szczęście w pulsach żył,
skrzydłami bije niby ptak!..
Więc przeciąć świat, jak srebrny dysk?!
Więc bunt? Zerwanie wszystkich pęt?
Tak... tak... tak....
pęd... pęd... pęd!...

Wilno 1927.

Zwolennik ks. Karola.



Manoilescu, były podsekretarz stanu w rumuńskiem Ministerstwie Skarbu został w tych dniach aresztowany pod zarzutem popierania ks. Karola.

Tadeusz Łopalewski.

Wyprawa nad Narocz.

(Za przykładem Kolumba).—Uczestnicy wyprawy—Michaliszki.—Gdzie są malarze?—Różne wieści.—Popas w Kobylniku.—Nad Naroczą.—Powrót do Wilna.—Refleksje praktyczne.

Oddawna już chodziły po kraju głuche wieści o cudzie przyrody, ukrytym gdzieś wśród „dziewiczych" obszarów Ziemi Wileńskiej. Mówiono, że hen daleko, w samem jej sercu, rozlewają się olbrzymie, wspaniałe wody: jezioro nie jezioro, morze, nie morze... Ten i ów szczęśliwiec, który bohatersko pokonał był przeszkody przestrzeni, docierając do owego legendarnego miejsca, wracał później z miną wniebowziętą, a na natarczywe pytania zaintrygowanych mieszczuchów, przymykał zachwycone oczy i piał ekstatycznie:—Ach... och... Narocz. ach... ach.

Tyle tylko z niego można było wydobyć. Wrażenia doznane odbierały mu snać mowę i przejściowo ujemnie wpływały na umysł. Ciekawość więc rosła, apetyty zaostrzały się. Dość jednak było śmiałkowi rzucić okiem na mapę w poszukiwaniu drogi, by zapały krajoznawcze ostudzić. Można jechać, dlaczego nie? Sto dwadzieścia kilometrów traktem, a można też i koleją. Najpierw godzinę dwutorówką, później—trochę „poczekawszy" trzy godziny jednotorówką, później—trochę wązkotorówką, a resztę, głupie kilkanaście kilometrów sposobem apostolskim, na piechty. Wydłużała się więc broda turyście i... mijał czas, a nic nie zakłócało spokoju bezludnych brzegów naroczańskich. Wprawdzie przed kilkudziesięciu laty przedarło się tam paru męczenników nauki, którzy wymierzyli „morze litewskie" wszerz, wzdłuż i wgłąb i opisali je w III tomie „Pamiętnika Fizjograficznego", nie znaleźli jednak naśladowców, choć tematu bynajmniej nie wyczerpali. Od tego czasu stało się wiadomem, że obszar wód Naroczy równa się 82 klm. kwadr., a więc w obecnych granicach Państwa Polskiego jest to największe jezioro.

Pomimo to dla świata cywilizowanego pozostała Narocz w ukryciu. Bo i przed Kolumbem przecież zdarzało się żeglarzom postawić stopę na ziemi amerykańskiej, dopiero jednak Kolumb dokonał oficjalnego odkrycia, co—jak głoszą dzieje anegdotyczne—taką radością napełniło tuziemców, iż pląsali na brzegu wobec kolumbowych fregat, śpiewając:

— Radujmy się, radujmy! Wiwat! Jesteśmy odkryci!

Czekała więc i Narocz na swego Kolumba i doczekała się wreszcie. Pewnego dnia zjawił się u władcy tych obszarów szpakowaty brunet w amerykańskich okularach, z pliką papierów w teczce, na której widniał rysunek imponującej budowli. Stanął w postawie służbowej i rzekł:

— Budujemy nad Naroczą schronisko, panie wojewodo?

— Budujemy. A pieniądze są?

Prawie, że są. Zrobiona rzeczy połowa—to rzecz już cała gotowa. Trzeba jednak przedtem odkryć ludziom tamten świat: niech wiedzą co, gdzie i jak...

— Słusznie.

Na apel zgłaszają się pionerzy cywilizacji. Przybywają wodzowie plemienia morskich i rzecznych Ligów, awanturniczego a bardzo rozmnożonego szczepu „Krajoznawców", młodego i dzielnego ludu Azetesów i Bratniaków i szeregu innych niemniej znakomitych plemion.

W niedzielny słoneczny poranek z portu przed gmachem Urzędu Wojewódzkiego w Wilnie wyrusza na podbój Naroczy flotylla odkrywców, złożona z siedmiu samochodów, szczelnie wypełnionych załogą, uzbrojoną w ciężkie i lekkie aparaty fotograficzne oraz inne przybory podróżnicze. Bojowo sterczą ku górze nastroszone kołnierze kożuchów. Ze stosu futer i szalów wyglądają ciekawie na świat trzy urocze białogłowy wierne przysiędze, składanej małżonkom:

— Iż cię nie opuszczę aż do śmierci.

O śmierci narazie niema mowy. Przeciwnie: humory różowe jak nosy pod działaniem przymrozku październikowego, wlewają otuchę w serca najbardziej „pragmatycznych" pesymistów. Na starej wieży katedralnej bije siódma. Potrójny sygnał trąbki i ruszamy. Na czoło wyprawy wysuwa się auto Komandora, któremu zgodnie powierzamy przewodnictwo i troskę o bezpieczeństwo w naszej podróży. Jeżeli nie „z wieku" (bo są tu i starsi) to napewno z „urzędu" ten zaszczyt mu się należy. Komandor na śmigłym fordziku odrazu rusza z kopyta, a za miastem na wspaniałej choć krótkiej szosie do Nowej Wilejki rwie z szybkością 60 klm. na godzinę. Za nim, utrzymując przepisowy dystans 50 metrów pędzi na Dodge'u sam Kolumb i odkrywca Naroczy. W skórzanej czapie i okularach wygląda przy kierownicy i bohatersko i demonicznie. Za nim rasowy Buick, w którym zagnieździli się przedstawiciele wiedzy i—cóż począć?—literatury.

Bo wyprawa posiada w swem gronie aż czterech profesorów: chemji, geografji, prahistorji oraz historji sztuki. Potężna postać profesora chemji w jakiemś (mea culpa: nie wiem jakiem) reniferowem futrze, unaocznia majestat nauki. Patrjarchalna broda i namaszczony głos obejmują moralny protektorat nad najbliższem otoczeniem Buicka i jego zawartością. Oczy laików przykuwa pękata walizka, którą profesor troskliwie umieszcza przy sobie wśród różnokalibrowych aparatów fotograficznych. Nieśmiałe pytania ciekawskich odnośnie jej treści właściciel zbywa dobrodusznem mruczeniem, z którego można raczej domyśleć się niż usłyszeć.

— Przyjdzie czas — to zobaczycie.

Szczęśliwy, kto zobaczy.

Tymczasem szybko przecinamy tor kolejowy za Wilnem raz, później drugi raz... Komandor daje w biegu tajemniczy znak ręką posterunkowemu, który pędzi co tchu gdzieś w kierunku stacji. I podczas, gdy maszyny skaczą po zmarzniętej grudzie, po drutach telefonicznych wyprzedza je szybsza jeszcze wieść: Już jadą...

Pole, las, pole, las, wioska... Jak burza przelatujemy mimo „gapiących się gapieniem wielkiem" kmiotków i znów to samo: pole, las, pole, mostek, hoop siup, góra, dół, góra, dół („Moreny, — szepcze nabożnie prahistoryk) i oto na horyzoncie ukazuje się zbiorowisko domów z mieniącym się srebrzyście w słońcu białym kościołem. Michaliszki. Stop!

Sprawdzanie szeregów. Okazuje się, że jedna z maszyn zginęła gdzieś po drodze. Tradycyjna „kicha", oczywiście. Wypada więc zaczekać, a ponadto — sześćdziesiąt zgórą kilometrów mamy już za sobą. Z okazji tej korzysta odrazu historyk sztuki i konserwator w jednej osobie.

— Pierwszorzędny zabytek, — śpiewa świeżym tenorem, wymachując olbrzymiemi rękawami kożucha w kierunku wzmiankowanego kościoła: radzę państwu choć pobieżnie... Pierwszorzędny...

— To niesłychane, — wydziwia entuzjasta, profesor geografji i geolog też w jednej osobie:—nadzwyczajne. Tędy Batory...

Urywa i pośpiesznie notuje coś w miniaturowym bloknotesie, żując apetycznie butersznyt. A już grono pań i panów pod wodzą konserwatora sunie przez koślawy rynek w kierunku ślicznej świątyńki. Piękne wnętrze z bogatemi sztukami, na których znać wpływ ornamentury wileńskiego kościoła św. św. Piotra i Pawła, więcej jednak ciepłe przez swą prostotę. Przepysznie rzeźbiona ambona z baldachimem w kształcie korony, w bocznej kapliczce misterny krucyfiks z kości słoniowej.

— Kapitalne, — wzdycha entuzjasta, kropkując w notesiku. Wcielenie majestatu nauki mruczy afirmatywnie. Wszyscy są zadowoleni. Z cmentarza przykościelnego rozległy widok na Wilję, przepływającą w dole, na falistą równinę. Tu, na moście pierwsze zdjęcie. Zaczyna się mozolne upozowywanie maszyn, ustawianie statywów. Trwa to dość długo. Tymczasem tubylcy mają bezpłatne dziwowisko. Do wałęsającego się bezczynnie literata zbliżają się nieśmiało dwie michaliskie damy, zresztą dość szpetne.

— Przepraszamy pana, czy tu same profesorowie jadą?

— Tak,—łże z pychą literat, połechtany tem uogólnieniem.

— Proszę pana, a czy tu może jest pan profesor Michejda, bo mój brat jest chory?

Niestety: chirurgja nie wzięła udziału w wyprawie. Operacja nie doszła do skutku.

Niewidziana dotychczas w tych stronach ilość samochodów, dumne miny pasażerów wszędzie wzbudzają sensację. Leci przed nam stugębna fama i toruje nam drogę: „To jedzie marszałek Trąmpczyński, wice-wojewoda Malinowski i jacyś posłowie"—brzmi pantoflowa relacja.

O wieści gminna, ty arko przymierza...

Geograf z prahistorykiem nie tracą jednak czasu. Podczas gdy większość zainteresowanych jest fotografowaniem na moście, ci dwaj weszli na nadbrzeżny wzgórek i debatują nad czemś uczenie. Widać jak pierwszy schyla się i bada paznokciem pokłady geologiczne odsłoniętej w tem miejscu warstwicy ziemi. Czynność tę przerywa mu sygnał trąbki Komandora: Wsiadać, wsiadać...

Motory zaczynają warczeć — i po chwili cała flotylla pędzi już znowu ku odległemu celowi wyprawy. Już w tym i owym żołądku odzywa się smętne burczenie. Natura upomina się o swoje prawa. Posiłek jednak dostanie załoga dopiero w Kobylniku, to znaczy prawie u kresu podróży. A pozostało jeszcze półtora godziny jazdy, jeśli co nie stanie na przeszkodzie. Mkniemy. Ach, te moreny! Można dostać choroby morskiej od tych pochyłych zjazdów. Słońce zaczyna nieśmiało przygrzewać, przypominając nam niedawne letnie czasy i wywczasy. Ale pęd wiatru ostudza to spóźnione ciepło. Pęd wiatru niesie przed nami po drodze kłębowisko złotobronzowych liści, posiew jesieni... Dobrze jest, wesoło i pogodnie podczas tej jazdy. Wszystkie twarze zadowolone i uśmiechnięte.

W pewnym lasku Kolumb zatrzymuje nagle pędzące za nim auta. Komandor nie dosłyszał sygnału, poleciał naprzód zniknął na zakręcie.

— Co się stało?

— O dwieście metrów stąd na-

Dziennikarze rumuńscy w Krakowie.



Goście pod Barbakanem: red. Borelescu, red. Drogomirescu, red. Cecoropisle, wicekonsul Kijewski.

Mój pierwszy lot.

Miałem przed sobą podróż do Krakowa, a sprawy prasowe naglily mocno, domagając się największego pośpiechu. Silniej jeszcze działało przykre wspomnienie zgórą 10-godzinnej jazdy pociągiem. Ale prócz tego grała zapewne żyłka czy nerw współczesności, tęskniącej za szybkością, za czemś niezwykłem.

Rano byłem na lotnisku warszawskiem na Topolowej. Wyznam szczerze, że tłukła się we mnie pełna obawa, do której zresztą nie chciałem się przed sobą samym przyznać; korzystając z czasu obszedłem pawilony, odwiedziłem skromny bufet i zawarłem znajomość z niezwykle miłym kierownikiem lotniska. W rozmowie uderzyło mnie, że przy bijącej z oblicza inteligencji, żywi zabobonne wierzenia, bo po mojem stwierdzeniu, które mu nie bez dumy podałem, że dotąd Polska Linja Lotnicza nie notowała nieszczęśliwych wypadków, stuknął mój rozmówca kilkakrotnie nogą o podłogę. Dla odegnania zła, którego uniknął w ciągu 12 lat latania, i oby nadal uniknął.

Wytoczono z hangaru naszego ptaka, zjawił się i lotnik, w którym z trudem poznałem mojego „kierownika", takiej podległ metamorfozie, wypomniały mi się natomiast ryciny z jakichś książek czytanych w dzieciństwie, może Juljusza Warne. Już są pasażerowie, ładuje się bagaż, poczem i my wsiadamy. Starszy pan do ostatniej chwili porozumiewa się z panną, której z twarzy wyczytać można nie bylejaką obawę. Nakoniec wrzucają jeszcze skrzynkę z pocztą.

Pilot zajął już swe miejsce i wypróbowuje aparat. Jest to rzecz najbardziej przykra, wręcz denerwująca nowicjusza, a trwa dość długo. Wreszcie lotnik sprawdził wszystkie kurki, zatyczki, naciski, poprawił szal i okrycie głowy, przewiązał się rzemieniem, nacisnął, pokręcił i — ruszyliśmy.

— —

Po pierwszem silniejszem wstrząśnieniu nastąpiła jazda względnie spokojna, niby autem po grudzie. Start. Zaczynam właśnie podejrzewać nasz samolot, że nie umie wzbić się w powietrze, gdy naraz odrywamy się od ziemi, którą widzę nagle podemną na jakie 100 metrów. — Ani krzty przykrego uczucia, względnie zawrotu. Wata, otrzymana jako dodatek do biletu w małej paczuszce, którą wedle wskazówek opchaliśmy sobie nosy, okazuje się niepotrzebną, ale uszy chroni od srogiego turkotu motoru. Odrzucam rzemień, którym jestem uwiązany z gestem niepozbawionym odwagi i junactwa.

Starszy pan jest skonsternowany utratą okularów, które mu wiatr zdmuchnął, zadługo bowiem wyglądał przez otwarte okno, żegnając się z damą w sobolach. Dostrzegam w tem niezwykły komizm i śmieję się głośno, ale raczej do widoków podemną. Przepiękne kobierce, którym podobne widać z wysokich szczytów górskich. Poraz pierwszy widzę we właściwem świetle rzekę, oglądam ją w związku z terenem. Snuje się krętą wstęgą, wgryza w brzeg, prostuje, jakaś drobna, skromna. Obrazy cechuje wielka wyrazistość, często widzę nawet odciski kół na polach.

Prosto cięta linja drogi, grupki domków — zabawek, kwadraty pól zaoranych i rżysk jesiennych, nieregularne wielokąty ugorów, połacie lasów. Uprzytamniam sobie, że najlepsze studja osadnicze można dokonać w aeroplanie. Jak na dłoni leży osada, przelatuję właśnie nad miastem, którego regularny czworokąt zdradza kolonizację na prawie niemieckiem, jaskrawo wyskakuje związek z wodą, uderza łączność z terenem, dostosowanie się do niego, jakby przylgnięcie, obejście, mądre pokonywanie przez osadnika trudności, które mu stawia przyroda. W fantazji widzę seminarjum przyszłości, odbywające z mistrzem praktyczne ćwiczenia osadnicze w samolocie.

Widzę wyraźnie, że wznosimy się w górę i przez celuloidową szybkę sprawdzam wysokość. Okazuje się, że szybujemy 700 metrów ponad ziemią. Pod nami, niby postrzępiona wata, przemykają chmurki, jeszcze niżej ziemia, po której ślizga się cień naszego latawca. Właśnie mijamy wieś i widzę liliputa — pastuszka, który powiewa jakąś chustką, a z pozycji odgaduję, że krzyczy do nas. Innym razem widzę ludzi ustających na chwilę w pracy. Czyżby nachodziła ich również tęsknota i pragnienie przestrzeni? Albo też ot to tylko smętne spojrzenie obojętnego oracza, którem śledzi również przebiegający pociąg, zatrzymawszy pług.

Pilot jest niby orzeł. Niezmordowany patrzy to w prawo, to w lewo, czasem zagląda przez szybę do kabiny pasażerskiej, krząta się koło motoru, orjentuje się w chwilach gdy prostuje linję lotu, obiera drogę. Z obserwacyj zdołałem pochwycić, że trzyma się szosy, którą mamy wciąż po prawej ręce.

Czuję przypływ ufności, która płynie od osoby pilota. Uświadamiam sobie, że złożyliśmy w jego ręce nasze życie i myślę o tem bez jakiejkolwiek obawy. Bardzo mocno materjalnie nieomal wykwita chwilami poczucie solidarności czterech, związanych z sobą przygodnie pasażerów, płynących przestworzem.

Zagłębiłem się na dobre w gazecie, pokonując trudności nagromadzonych niebacznie przez jakiegoś ekonomistę terminów z zakresu finansowości. Nagle wytrąca mnie z spokoju cisza. Przelatuje przez głowę myśl, że w motorze jest defekt, zwłaszcza, że kilkakrotnie rozpoczyna pracować i ustaje. Ale mój towarzysz, bywalec, anonsuje Kraków. Aluminjowy ptak ślizga się po ukośnej linji, zbliżając się szybko ku ziemi. Lekko, bez wstrząsu, nieznacznie tylko zachybotawszy, osiąga samolot ląd i zmienia się w auto. Lądujemy. Po łące odbywamy szybką jazdę, zawracamy i jakby na rozkaz staje aparat na skraju lotniska. Jeszcze kilka chwil upływa, nim śmiga ustaje, i wysiadamy. Port lotniczy w Rakowiczach.

Witają nas uśmiechnięte twarze. Odcyfrowałem w nich coś z szacunku, zadziwienia, albo przynajmniej uznania. Młodzieniec, który mi się przedstawia, staje się nagle rozmowny, skarży się, że ogłuchł na drugie ucho, bo na pierwsze— był przedtem już głuchy. Ściskamy z uznaniem dłoń pilota, który tegoż dnia wraca do Warszawy.

Nas zaś zabiera auto do Krakowa—lecieliśmy 7[kwadransów. D

Nowy Prezes P. B. R.



P. Seweryn Ludkiewicz, dotychczasowy wice-prezes Rady Nadzorczej Państwowego Banku Rolnego -- został mianowany obecnie prezesem tegoż Banku. Prezes Seweryn Ludkiewicz należy do najwybitniejszych znawców sprawy agrarnej w Polsce.

Z MUZYKI.

Koncert łotewskiego chóru narodowego

Przyjazd gości łotewskich, o których pisaliśmy obszerniej niedawno, wzbudził w naszem społeczeństwie silny odruch zainteresowania; to też sala teatru na Pohulance zapełniła się po brzegi publicznością, spragnioną dobrej muzyki.

Chór łotewski nie zawiódł w niczem pokładanych w nim nadziei. Co więcej — dla wielu osób przeszedł wszelkie oczekiwania. Kto jednak znał nieco ruch chóralny na Łotwie, ten był przygotowany na najwyższy poziom artystyczny. Takim też był ten poziom od początku do końca koncertu.

Muzyczne walory chóru ukazały się w całej pełni w trudnych kompozycjach Vitolsa, Melugajlisa, Żalitsa. Pieśni te, wprost o orkiestralnej fakturze, wymagają nadzwyczajnej samodzielności głosów, wyrobienia słuchu, a równocześnie poczucia bezwzględnej wspólności i łączności każdego głosu z drugim i wszystkich razem. Tą drogą można jedynie uzyskać jednolitość brzmienia, a jednocześnie nie pozbawić słuchacza rozkoszowania się linją melodyjną każdego głosu z osobna. Chór łotewski pod względem czystości stylu wokalnego, stoi na bardzo wysokiej wyżynie. Dyr. Reiter, doskonale wyczuwa owe subtelności, zatracone w drugiej połowie XIX w. przez wojującą harmonję. Jedynie chwilami soprany występowały nieco za jaskrawo, co nieraz staje się trudnem do uniknięcia.

Repertuar obejmował pieśń artystyczną oraz ludową w opracowaniu. Zainteresowanie wywołała kompozycja J. Żalistsa: „Bikeris mironu sala"—(według obrazu Böcklina) „Puhar na wyspie umarłych". Przedziwnie piękny nastrój tej pieśni sprawił bardzo głębokie wrażenie. Jednym z najciekawszych utworów (najmłodszego dziś kompozytora Janisa Cirulisa) była niewątpliwie pieśń „Es zinu" (Ja wiem), bardzo trafnie wykorzystująca koloryt ludowej muzyki— jednak bez jakiegokolwiek szablonu.

Szereg pieśni Darziusa, Kalninsa i Jurjansa przedstawił nam twórczość chóralną Łotwy stojącą na bardzo wysokim poziomie, o wartościach muzycznych niepoślednich, przyczem koloryt, styl własny— najczęściej bywa zachowany.

Dyr. Reiter kierował zespołem wyśmienicie. Jego świadoma celu ręka—wiedzie przemiły zespół—do wysokich rejonów najczystszego kultu śpiewu chóralnego.

W czasie antraktu przemawiali p. Osterwa—w imieniu Reduty, p. minister dr. Bilmans — w imieniu zespołu łotewskiego. Wileńskie organizacje muzyczne ofiarowały gościom wiele kwiecia. Goście podniesieni nastrojowością chwili zaintonowali hymny państwowe obu narodów, przyczem zachwyciła wszystkich piękna dykcja polszczyzny w „Jeszcze Polska nie zginęła".

Po koncercie odbył się raut, który w przemiłym nastroju przeciągnął się do godziny 5 nad ranem. Serdeczność była wielka do tego stopnia, że kilka osób z chóru zdecydowało się pozostać w Wilnie na kilka dni.

Spodziewamy się, że bytność chóru łotewskiego przyczyni się do nawiązania bliższego kontaktu z życiem muzycznem Łotwy. Wilno jest w pierwszej linji powołane do nawiązania tej łączności.

Dr. Sz.

Humor.



— Co to widzę: wsuwasz kota?
— No, czemuż by nie? Wczoraj mi zjadł kurczęta, więc go dziś zjem ja.

lewo jest jezioro Szwakste. Radzę wysiąść i zobaczyć.

Ten człowiek naprawdę urodził się odkrywcą! Mobilizacja fotografów i ruszamy przez bujne wrzosowiska we wskazanym kierunku. Po kilku minutach ukazuje się pomiędzy sosnami wielka błękitna przestrzeń. Stajemy na wyniosłym brzegu. Czarowny widok. Cisza, głusza i pustka dokoła. Lazurowe obszary nieba i błękitna tarcza jeziora, inkrustowana po brzegach złotofioletowemi kępami szuwarów. Słońce wylewa na nią strumień roztopionego metalu. Nad nią kołują wolno dwie białe mewy...

Cichą kontemplację obecnych przerywa raptem poirytowany głos naszego entuzjasty:

— Gdzież są, u djabła, nasi malarze? Czemu nie siedzą tu i nie malują? Nigdy ich niema tam, gdzie potrzeba. Będą wam po sto razy malowali każdą ruderę w Kazimierzu, a tu się żaden nie zabłąka.

Więc z braku artystów pędzla ten i ów wycina aparatem fotograficznym z krajobrazu co najpiękniejsze kawałki. Bo ponoć i fotografja jest sztuką. Może nie?... Już w lesie szczekają zniecierpliwione trąbki. Gramolimy się do maszyn i jazda. Jeszcze jeden krótki postój po drodze dla utrwalenia na kliszy prześlicznej kapliczki przydrożnej, gdzie pod okapem widnieją trzy polichromowane świątki: Chrystus na krzyżu, a pod krzyżem święty Józef z Dzieciątkiem na ręku i Matka Boska. Całość pięknie rzeźbiona, ozdobiona ptaszkami, zgrabnym gzemsikiem, słowem arcydzieło bezimiennego wiejskiego snycerza.

I oto cel naszej podróży, miasteczko Kobylnik. Tuż za niem, w odległości paru kilometrów rozpościerają się wody wspaniałego jeziora. Lecz zanim zaczniemy poić ducha cudami przyrody, trzeba przecież napoić i pokrzepić mdłe ciało, wytrzęsione nieco na wybojach przebytej szczęśliwie drogi. Zajeżdżamy przed urząd gminny, wchodzimy tłumnie do środka. Miła niespodzianka. Nature morte. Stoły ustawione w podkowę, nakryte białym obrusem, a na nich uczciwy rząd flaszek, chleb, masło, ogórki. Z kuchni zaciąga aż tu smakowity zapach smażonego „ścierwa".

Honory gospodarza domu z szerokim gestem czyni starosta postawki, p. Niedźwiecki w towarzystwie sympatycznego pana wójta gminy kobylnickiej. Siadamy do stołu jak jeden mąż. „Pełno radości i krzyku".

Teraz dopiero chemik zdradza najbliższemu otoczeniu tajemnicę swej walizki. Z pogardą odsunąwszy czystą monopolową, dyżurującą na miejscu, stawia na stół preparat własnej pracowni: nalewkę wiśniową. Nieliczni tylko mieli szczęście delektować się paroma większemi miarkami tej subtelnej substancji, jeszcze mniej liczni w kilka godzin później, gdy śniadanie ułożyło się im ściśle w żołądkach, czyniąc miejsce nowym dawkom pożywienia, uraczeni zostali pysznym chlebem z tejże pracowni i walizki pochodzącym oraz pieczonym „bydlakiem" vel kurczęciem, które nieuszkodzone przybyło we wzmiankowanym neseserze z Wilna nad Narocz.

Niespełna godzinę trwał popas w Kobylniku i znowu wyruszamy na ostatni tym razem i najkrótszy etap naszej podróży. Znowu te moreny, wjazdy i łaskotliwe zjazdy, aż raptem ze szczytu pewnego wzgórza uderza w oczy wielki, szeroki pas błękitu, pomiędzy szczytami drzew a jaśniejszem niebem. Wspaniała ta niespodzianka na sekundę zapiera oddech w piersiach.

— Narocz. Aa...

Auto zjeżdża w dół i miraż znika. Wkrótce zagajnik się kończy i po prawej stronie ukazuje się w całym swym ogromie Mare Lithuanicum. Na pierwszy rzut oka woda zdaje się nie posiadać po tamtej stronie brzegów. Później spostrzega się mglisto majaczący na horyzoncie skrawek lądu, długą kresę, jakgdyby zawieszoną w powietrzu. Droga prowadzi tuż nad jeziorem. Maszyny zwalniają biegu i raz po raz wysiadają pasażerowie dla dokonania operacyj fotograficznych. Słychać wtedy majestatyczny szum fal, jak nad prawdziwem morzem. Pomimo bezwietrznej pogody Narocz silnie faluje i gra w przestrzeni swą potężną pieśń. Szumi rytmicznym szerokim oddechem, ożywia zakurzone płuca mieszczuchów rzeźkiem chłodnem powietrzem. Mieni się w słońcu przepychem szklistych barw i świateł. A wokół na wybrzeżu ani śladu ludzkiego osiedla. Pustkowie.

Dwanaście kilometrów ciągnie się droga wzdłuż tego północno-wschodniego brzegu w kierunku Starego Miadzioła. Przebywamy tę przestrzeń powoli, pasąc oczy i objektywy urokami krajobrazu. Później auta skręcają z traktu w przesmyk między Naroczą, a sąsiedniem jeziorem Miastro. Droga tu znacznie trudniejsza. Grunt nierówny i bagnisty. W pewnem miejscu maszyny grzęzną i trzeba wysiłkiem ramion wyciągać je na lepsze pozycje. Tam porzucamy nieprzydatne już wozy i idziemy dalej pieszo. Przesmyk wciąż się zwęża i w jednym punkcie wynosi zaledwie kilka metrów. Struga łączy obadwa jeziora, a nad nią buduje się wygodny mostek na palach. Balansując na belkach pokonywamy i tę przeszkodę, poczem już droga wolna i wygodna. Widok na wodne obszary, rozciełające się po obu stronach naprawdę niezwykły. Z lewej strony, na przeciwległym brzegu Miastra widać w kępie wielobarwnych jesiennych drzew miasteczko Miadzioł, z górującym nad niem zabytkowym kościołem.

Teraz można posuwać się tuż nad wodami Naroczy twardym, piaszczystym brzegiem, gdzie pełno żwiru, muszelek i... drutów kolczastych. Pozostałość to Wielkiej Wojny. Całe masy takich zasieków zostały podobno zatopione przez Niemców w jeziorze. Miejscowi rybacy wyławiają jak mogą te zdradzieckie pułapki i magazynują na brzegu, bo zużytkować ich dla własnych potrzeb — nie wolno. Takie jest rozporządzenie. Pewna przestrzeń została już oczyszczona dla rybołóstwa, bo spotykamy dalej kilkanaście łodzi rybackich i wiele porozwieszanych nad niemi sieci. Druga pamiątka wojny — to niewielki cmentarz na wzgórzu wśród sosien...

Załoga, podzielona na gromadki, spacerowym krokiem maszeruje wzdłuż wybrzeża, dzieląc się wrażeniami. Tu i owdzie toczy się ożywiona dyskusja na temat przyszłego ruchu turystycznego w tych stronach, o widokach rozwoju życia letniskowego. Co za znakomity teren dla sportu wodnego i wędkarstwa. Już w wyobraźni puste obszary nad Naroczą zaludniają się dziesiątkami żaglówek i łodzi. Już wyrastają na wybrzeżu schroniska, wille, domki. Ziemia tu bowiem śmiesznie tania: 50 — 200 zł. za hektar. Budulec w pobliskich lasach. Komunikacja? I komunikacja wygodna powstanie, gdy będzie kogo przewozić. Klimat zdrowy, położenie malownicze, czegóż więcej potrzeba?

Takiemi refleksjami brzemienni wracamy do samochodów, bo słońce zniża się już ku zachodowi, a oddaliliśmy się od lokomocji o dobre trzy kilometry. Okrężną drogą wracamy do Kobylnika, utyskując na krótkość dnia październikowego, nie pozwalającą objechać jeziora ze strony przeciwnej, niemniej, jak twierdzą świadomi rzeczy—godnej uwagi. W Kobylniku jesteśmy o zmierzchu. Spożywamy obiad przy tych samych stołach, co śniadanie. I jest już ciemno. Zakwita gwiazdami aksamitne niebo. Przed siódmą, szczelnie otuleni w kożuchy i futra puszczamy się w drogę powrotną do Wilna. Samochody wymiatają reflektorami ciemności przed sobą. Nowe wrażenia niesie ta szybka nocna jazda drogą tą samą, a jakże inną niż w dzień. Wracamy w tym samym porządku, w jakim tu przybyliśmy. Komandor cudów szybkości dokazuje na swym fordzie,

Nie pozwala sobie deptać po piętach i często czerwone oko numeru ginie nam z oczu. Aż oto spostrzegamy, że jedno auto uskoczyło w bok i pędzi gdzieś w ciemne pola. To Kolumb odkrywca, przypomniawszy sobie hasło Asnyka: „szukajcie nowych dróg" poleciał inną drogą na Hoduciszki. Wkrótce jednak zrezygnował z tego szlaku i skonfudowany dogonił nas na starym trakcie. W arjergardzie trzęsie się na rozklekotanej maszynie samotny geograf, sromotnie opuszczony przez dotychczasowego towarzysza, który powołując się na swe delikatne kiszki ulokował się w wygodniejszym samochodzie. Samotność mędrców mistrzyni: syt wrażeń i zachwytów chrapnął sobie profesor w ciepłych głębinach kożucha i ani się spostrzegł, jak fordzik spłatał mu figla. Gdy przyjętym zwyczajem Komandor zatrzymuje wyprawę nad Wilenką, wykrywa brak arjergardy. Po krótkiej naradzie Buick wraca i pędzi w noc na poszukiwania zaginionego. Znajduje go w dobrem zdrowiu i zabiera na swój pokład.

To była ostatnia przygoda, po której już bez wstrząśnień po czterech niespełna godzinach znaleźliśmy się w domowych pieleszach, rozprostowując z rozkoszą nieco wytrzęsione członki. Odkrycie Naroczy dla cywilizacji stało się więc faktem dokonanym. Teraz od dobrej woli i energji uczestników wyprawy będzie zależało udostępnienie tego pięknego zakątka kraju najszerszym warstwom społeczeństwa. A pierwszym krokiem w tym kierunku stanie się budowa projektowanego schroniska turystycznego, co ma nastąpić w czasie najbliższym. Czekają tylko na to właściciele okolicznych gruntów, by własnemi siłami pobudować tam letniska i wille. Bo wszak w każdem przedsięwzięciu najważniejszą rzeczą jest — inicjatywa...

Jak już pisma doniosły, istnieje gotowy projekt schroniska, opracowany przez inż. arch. Wojciechowskiego. Właściciel majątku Użły zadeklarował na rzecz schroniska hektar ziemi i całkowity potrzebny budulec. Kilka firm wileńskich zaofiarowało potrzebne części budowlane (dachówkę, okucia i t. p.). Można więc już właściwie przystąpić do pracy — i jest nadzieja, — że gdy zainteresowane instytucje dojdą do porozumienia, już w czasie najbliższych wakacyj każdy miłośnik natury będzie mógł spędzić nad Naroczą przynajmniej kilka dni w wygodnym lokalu.

W OBRONIE PRZED RUSYFIKACJĄ.

Niedawne, a sercu polskiemu drogie chwile! Wojska polskie w piorunnym pochodzie zdobycznym, opanowały Wilno i obaliły mur chiński, wznoszący się przez lata całe między Królestwem Polskiem i Litwą geograficzną.

Wślad za wojskami przyszły do nas liczne zastępy działaczy na wszelakich polach myśli i pracy polskiej. Oczywiście, bez ładu narazie i programu, gdyż innego być nie mogło, chodziło o czyn, a jego ostateczne wykończenie zostawiono czasowi.

I dotychczas wszystko jest w porządku. My, praojczyce tej Litwy geograficznej, wyciągnęliśmy ramiona ku tym bratnim zastępom, ku wspólnej i owocnej pracy.

I wtedy zaczęło się... Działa się nam krzywda. Z przybyszów niejeden, bo nie wszyscy i nie najlepsi, a bodaj najgorsi, jęli nam rzucać w oczy, że są dla nas głosicielami kultury i odskrobania z pleśni niewolniczej.

Hańba, hańba! Nie myż to w ciągu długich dziesiątków lat toczyliśmy rozpaczliwy bój z Moskalami w obronie przed rusyfikacją, przed wynarodowieniem czyli przed śmiercią? Nie myż to, wolni od wszelkich marzeń o karjerze, dobrowolnie skazywaliśmy się na to życie wśród ojczystych pieleszy, kędy nam było nieraz i głodno i chłodno? Nie myż to nareszcie przetrwaliśmy ewakuację rosyjską, okupację niemiecką, dziesiątki najdzikszych rekwizycyj i rabunków, trwając niby straż wiernych brytanów u progów własnych i nie szukając nigdzie po świecie przytułku, pomocy i zapomogi?

Więc te, z lekkiej ręki ofiarowane nam, a raczej narzucone obietnice przyszłych dobrodziejstw mogły i musiały nas zaboleć. Lecz na tem i kończę porachunki w tej sprawie. Natomiast uznaję, że lepiej będzie, gdy przypomnę dzisiejszemu pokoleniu, czem było nasze Wilno przed laty.

Jak już wspomniałem, pomiędzy Litwą geograficzną i Królestwem Murawjew Wieszatiel wzniósł mur chiński. Wierzono tam w Petersburgu, że Polacy z Kongresówki pozostaną Polakami, lecz my, Polacy litewscy, prędzej czy później musimy dać się zrusyfikować.

I cały system rządowy zmierzał ku temu, choć słuszność wyznać nakazuje, że ów system nie był ani zbyt złożony, ani też rozumny. Ot, jak robota pierwszego lepszego policjanta „stupajki".

Z lotu ptaka rzućmy okiem na Wilno przed laty 40. Wszędzie w miejscach publicznych, a więc na poczcie, na kolei, w biurach rządowych i municypalnych, można było czytać lapidarny rozkaz *„pa polski goworit' wospreszczajetsia"*. Gdy ktoś zwracał się do urzędnika lub innego funkcjonarjusza w tym języku, zagadnięty odpowiadał grubijaństwem lub w najlepszym razie milczeniem. Zdarzały się jednak i wyjątki. Tak, naprzykład, artysta-malarz St. Witkiewicz znalazł się na dworcu kolei w ogonku długim przed kasą III ej klasy. Widział on, że jakiś ruchliwy tragarz kolejowy kilkakrotnie przypadał do okienka kasowego i pomijając wszystkich, otrzymywał bilety. Nasz artysta głośno po polsku zwrócił mu uwagę na niewłaściwość takiego postępowania.

Tragarz machnął na to ręką, lecz za to wystąpił żandarm i wywlókłszy St. Witkiewicza z szeregu, zaprowadził do swej kancelarji żandarmerji kolejowej, ażeby spisać ostry protokół za użycie języka polskiego. Znaczy, że takie zakazy mogły być w każdej chwili treścią do poważnego oskarżenia i odpowiedniej kary. Lecz w danym wypadku wszystko skończyło się całkiem niespodziewanie. Kiedy protokół już był spisany i podpisany przez oficera, do biura wpadł niespodziewanie szef żandarmów kolejowych, pułk. von Ekse. Zapytał o co chodzi. Czemu pan nie mówił po rosyjsku? — Nie umiem. Skąd pan? — Z Warszawy.

Pułkownik machnął ręką, przedarł cały protokół i rzekł do St. Witkiewicza: „Szczekajcie jak psy, lecz nie mówcie po polsku!".

Oczywiście, o prasie polskiej już nieomal zapomniano. Od zamknięcia redagowanego przez Kirkora w dwu językach „Kurjera", Wilnu musiał wystarczać „Wileńskij Wiestnik", „Śmietnikiem" pospolicie zwany. Narzucano go właścicielom domów, kupcom, przemysłowcom i t. p. i ściągano prenumeratę przez policję. Można sobie wyobrazić, jakim mógł być taki dziennik, wydawany przez wrogów naszych, w którym feljetony humorystyczne pisywał żandarm wileński Rotkirch.

Zaś podpisany tylko zwolna i mozolnie nawiązywał życie wileńskie do prasy warszawskiej i zakordonowej, zasnuwając nici wzajemnych potrzeb i usług. Zaś L. U. umieszczał wzmianki w pismach warszawskich, które okolicznościowo przypominały Wilno tamtejszym czytelnikom.

Młodzież w szkołach średnich była surowo karana za rozmowę między sobą po polsku. Zrodziło to szpiegostwo wśród uczniów, władze dowiadywały się od upatrzonych swych faworytów o najniebezpieczniejszych i miały ich na oku, aby bądź brakiem promocji, bądź też wypędzeniem ze szkoły ostatecznie ukarać.

Spacerujący po mieście stawał na rogu krzyżujących się ulic i widział kilkudziesięciu dorożkarzy w watowanych z tyłu i fałdowanych tołubach oraz w lakierowanych rondelkach na głowie. Gdy zawołał „dorożka"!, nikt się nie ruszył, ale na wołanie „zwoszczyk", wszyscy dorożkarze rzucali się ku pasażerowi. Więc i ziemianin Polak i doktór i adwokat, jeździli „na zwoszczykach" i nikogo to nie raziło".

Atoli generał gubernatorowie coraz to wymyślali coś nowego, ażeby przekonać Petersburg, że oni są potrzebni. Kochanow, równie głupi jak nikczemny, wydał rozporządzenie, ażeby zobowiązać wszystkich właścicieli hoteli, sklepów, cukierń, restauracyj i t. p., że nie będą inaczej odpowiadali interesantom jak w języku rosyjskim. I cóż myślicie Sz. Czytelnicy— jaki był skutek? Oto dali piśmienne zobowiązanie wszyscy, z wyjątkiem jedynie czterech osób: 1) stary kupiec Muchin, rdzenny Rosjanin, handlujący futrami, samowarami i herbatą, odmówił wręcz, mówiąc: „Od trzydziestu lat handluję z Polakami i im winienem majątek; dziś nie mogę być świnią i tak się odpłacać za ich dobro", 2) Lewinsohn, Żyd, ówczesny właściciel hotelu Europejskiego, odmówił zobowiązania, motywując je tem, że nie może być odpowiedzialnym za kilkadziesiąt osób służby hotelowej, 3) stary i bogaty kupiec, Polak Fiorentini odmówił zobowiązania, gdyż już postanowił handel swój zlikwidować. Atoli najciekawszem było wystąpienie pani Malinowskiej, rzeźniczki która miała własną jatkę pod ratuszem. Ta rozkrzyczała się na pół ulicy: „A co to? Już tu byli tacy, co za Murawjewa przychodzili z tem samem i skazali mnie dwa razy „na sztraf" i raz „na kozę". Zapłaciłam kary, odsiedziałam kare, a przecie byłam i jestem pani Malinowska, a Murawjewa dawno robactwo zjadło!". O pani Malinowska jakże ochoczo wniósłbym twe nazwisko na listę wielce zasłużonych! Boć cała ta afera o przymusowem rozmawianiu po rosyjsku zwolna stopniała i spłynęła chyba do rynsztoków, w owym czasie wysoce niechlujnych.

Wszystko to, cośmy powyżej rzucili na ekran dawnych wspomnień, było aż nazbyt dobrze rozumiane przez grupę inteligentnych jednostek, rwących się do czynu, do przeciwdziałania zewsząd grożącej rusyfikacji. Jakoż robiło się dużo i stąd korzyść spływała niemała, choć niestety w żaden rachunek ująć się nie dająca.

Jasnem było dla ogółu, że ogół młodzieży rzemieślniczej i handlowej, był najbardziej upośledzony pod względem wykształcenia, gdyż nie było żadnych czynników pomocniczych, ułatwiających samokształcenie. Brakło odczytów, teatru, wystaw i t. p. Postanowiono tedy tym biedom zaradzić, choć by w skromnym tylko zakresie, licząc na dalsze samorzutne już poczynania jednostek.

Przypomnijmy więc, że do Wilna zjeżdżali pod największym sekretem prelegenci, jak: Brzozowski, Mahrburg, Massonius (obecny profesor Uniwersytetu St. Batorego), A. Niemojewski i in. Bardzo skromnie ich opłacano, lub nawet występowali bezpłatnie, w mieszkaniach prywatnych, gdzie się mogło zbierać nie więcej, niż 60 — 80 osób.

Poza tem urządzano odczyty przez siły miejscowe „Z Bożej łaski", a to głównie z okazji różnych rocznic narodowych, jak to: powstania styczniowego, powstania listopadowego, powstania Kościuszkowskiego. Takie odczyty bardzo się przyczyniały do podniesienia ducha populacji wileńskiej i sprostowania wielu opacznych pojęć wśród niej nurtujących.

Zkolei rzeczy zajęto się organizacją teatrów amatorskich. Powodzenie było ogromne: nie brakło nigdy ani aktorów, ani publiczności i przedstawienia stale przynosiły dochód, który można było używać na inne cele.

Jednocześnie zajęto się organizacją chórów śpiewaczych: męskich, żeńskich i mieszanych. W tej dziedzinie najczynniejszym był Zeten, który zaprzęgł do pracy Grzybowskiego, Glińskiego, Gieiynga i in. Powodzenie chórów również było zapewnione. Garnęła do nich chętnie w godzinach wieczorowych młodzież płci obojga i w ten sposób powstawały jednostki odpowiednio przygotowane, które mogły uczestniczyć w różnych obchodach i przedsięwzięciach dochodowych.

Wspomnę tu, jako *curiosum*, że był jeden bas, bardzo rzadki i poszukiwany, który jednak jedynie wtedy zgadzał się uczestniczyć w chórze i śpiewać solo, kiedy był zaproszony przez podpisanego. Repertuar chórów śpiewaczych stale się zwiększał i byłby o wściekliznę przyprawił carskich służalców.

Warto przy tej sposobności zaznaczyć, że młodzież zatrudniona w teatrach amatorskich i chórach śpiewaczych, oraz uczestnicząca w odczytach i wszelkich obchodach narodowo-patrjotycznych, była odciągana od knajp, a więc zwolna podlegała umoralnieniu i uszlachetnieniu. Był to plus bardzo poważny, który należy zapisać całkowicie na dobro inicjatorów i organizatorów wszelkich urządzeń powyższych.

Miejscowa administracja moskiewska zaczęła coś niecoś wyczuwać, że źle się dzieje w Wilnie. Więc się zdobyła na krok heroiczny. Oto rozpisano z biura generał gubernatora odezwy do wszystkich guberniј w Rosji, ażeby współdziałały składkami na rzecz wzniesienia pomnika dla Murawjewa Wieszatiela. Rosja, dzięki energicznemu poparciu słynnego polakożercy Katkowa z Moskwy, odpowiedziała licznemi składkami.

I tu była rapa, na której połamał sobie nogi Kochanow. Satrapa ten bez żony, zdołał pozyskać sobie względy niejakiej Samojłowej, której męża Kochanow na odszkodowanie zrobił dyrektorem swej kancelarji. Otóż ten Samojło odbierał owe szczodre składki napływające z Rosji. Rzecz prosta, że robił to za pośrednictwem jednego z pomniejszych urzędników, który przynosił pieniądze z poczty Samojło postanowił skorzystać z tego, że urzędnik był często pijany poza służbą i wrzucił przy nim w ogień swoje własne kwity, któremi go kwitował z odbioru kilkudziesięciu tysięcy rubli składek na pomnik.

Urzędnik omal nie dostał obłędu z rozpaczy i zaczął pić już nie na życie, lecz na śmierć. Parokrotnie składał zeznania na ręce świadków, jak go strasznie skrzywdził Samojło.

Urzędnika zrobiono warjatem i chorego oddano do szpitala pod silny nadzór. Gorączka pijacka i zapalenie płuc zrobiły swoje; urzędnik dogorywał, ale znalazł w sobie jeszcze tyle sił, że wezwał notarjusza i wobec świadków podyktował zeznanie, jak haniebnie został okradziony przez Samojłę. Po paru dniach urzędnik zmarł, w jednej z ksiąg notarjusza wydarto jakimś sposobem treść tego aktu, ale sprawy to nie utopiło i wszystko wyszło na jaw.

Na tem właśnie połamał sobie nogi Kochanow i został odwołany, Samojło również stracił synekuralną swą posadę.

Atoli sprawa pomnika dla Murawjewa na tem nie utknęła; brakujące sumy zebrano przez podział nowych składek między gubernje. Lecz do bliższych szczegółów i tego pomnika i drugiego, wzniesionego dla Katarzyny II musimy wrócić w specjalnem i obszernem wspomnieniu.

nr.

„Auto" do polewania ulic w Japonji.



Na obrazku nasym widzimy oryginalny wóz do kropienia ulic, używany powszechnie w Japonji.

1000 gorączek.

Czyli niedole dziennikarskie w tysiącu odsłon.

Motto:

Bujać to my — ale nie nas!
„Nomina sunt odiosa"

Ze złotych myśli dziennikarza-filozofa
księga MXL VI § 8.

Kto przez te impresje nie przechodził, ten nie wie ile rozczulenia, nawet w tak cynicznych, wyzbytych uczuć ludzkich bestjach, jak dziennikarze, wywołuje ta cyfra. *Tysiączny numer* tego oto gazeciska, zmieniającego „mózg w ruladę", jak pisał, o czem innem zresztą, pewien wileński poeta. Tysiąc numerów tej hydry, wysysającej krew z żył i olej z głów, na cięciwie nerwów naszych wspierającej się i którą karmimy, jak stado wiecznie spłoszonych pelikanów, piersią własną... nie, żadnych przenośni! Żadnych też nazwisk, ani precyzowania, uogólniajmy. Tak będzie... bezpieczniej. A zresztą kiedyż ma sobie sierota (dziennikarz) ulżyć, kiedyż się pożalić, jak nie w dzień uroczysty, gdy po raz 1000 przyrządzać będzie ten hultajski bigos, którym opycha czytelników, suwerenną Publiczność dobrodzikę, licząc na jej strawne żołądki i słabość umysłową. Nie może być dla dziennikarza większej rozkoszy jak nawymyślać komuś, (chyba jeszcze otrzymać zaliczkę, ale nie wkraczajmy w dziedzinę bajek), otóż dlaczegożby za swą 1000-czną fatygę nie miało sobie pióro redakcyjne pozwolić na zjadliwy skrzyp buntu? Dość się naskrobało, naumorusało, w atramencie, naprzekreślało, nabłądziło poprzez progi wstępnego porohy pierwszej i drugiej kolumny, przepaści politycznych, głębiny odcinków i kręte ścieżki kroniki.

Gazeta... cóż? Papier i do tego „zapeckany" śmierdzącą farbą, do żadnego delikatnego użytku nawet się nie nadaje, co najwyżej buty niesione do zelowania owinąć lub jakiś gospodarski pakuneczek. Tu przeczytał, tu rzucił; chyba, że zwyczajem wileńskim, od sąsiadów pożyczony z warunkiem oddania.

Numerze, Ty zbiorowe dziecię pracy zespołu redakcyjnego, zbóju, co się w dzień rodzisz i umierasz uśmiercając sam na każdej szpalcie ludzi, wyładowując wszystkie ich plugastwa jak kula ziemska długa i szeroka (?), wpierając w cierpliwego czytelnika, niewinną ofiarę naszej namiętności, wszystkie wiadomości o tem, co, gdzie, kiedy i jak, kto komu i za co zrobił... świń...o! Na co mu to potrzebne, (czytelnikowi), nie ogarnie umysł, starty na trociny rotacyjnej maszyny. Jaką ma z tego strawę duchową, gołem okiem nie da się dojrzeć, a jeśli chodzi o pośpiech, toć magiel, kawiarnia i plotki familijne, stokroć szybciej wieść niosą, niż taka numerzyna nieboga raz na 24 godziny obełgująca za marne 20 groszy lekkomyślnego nabywcę. I czego tu stać na wietrze, zimnie, albo i słocie, zadarłszy głowę i sylabizując tłuste, zwykłe, garmonty, petity, nabite ciasno na dopiero co nieskalaną, niewinną i czystą płachtę papieru, by jak stado opętanych karaluchów wpełzać do mózgów i gmerać w nich tysiącem wiadomości, zdań, poglądów, prawd i nieprawd, frazesów i szczerych słów, a wszystko na dziś, na dziś, tylko na dziś...

W tem jest tragedja! Co Pan sobie myśli, że to nic, numer ułożyć, co Pani tak nie szanuje gazety, Pani sądzi, że to samo się pisze? Że to nie robota? „Cóż? Wzłoł, siad, naskrobał i jeszcze płaco!" Niech 1000 szatanów zgrzebłem z rozpalonej stali skrobie tych, co tak myślą. My wam kwiat naszych uczuć, mózg naszych głów, krew z serca, fosfór z kości, żółć z wątroby, słowem całych siebie, sprzedajemy codzień po 20 groszy, kawałkami, niczem handlarz mięsem ludzkiem u ludożerczych plemion, a że Sz. Państwo myślą, że to „hultajski fach paniedziejute gazetniki, piją i oni, i zecerzy, i tak ot, numer robi się". I Pan byś pił, z samej desperacji, choćby Pana najstarsza i najnadobniejsza soda liska wileńska do pięciu bractw abstynenckich wpisała. Bo, żeby tak bez smażenia w smole powiedzieć raz, co się dzieje... w Redakcji zasadniczo.

Otóż kamień węgielny, kanon, podstawowa, kacia zasada od słowa kat *nomina sunt odiosa* każdej mordowni ludzkiej, słusznie redakcją zwanej, jest niezmienny fakt, że „niema pieniędzy". Nie znaczy oczywiście, żeby tak było w ludzkiem tych słów znaczeniu, ale administrator lub redaktor, któryby inaczej powiedział od pierwszego słowa, zdyskwalifikowałby się gorzej, niż podając z 48 godzinnem opóźnieniem treść konferencji Ligi Narodów lub zdarzenia z Mejszagoły. Takie widać trzeba wymawiać zaklęcia, by pismo szło. Tradycja. Najpostępowsze pisma *takową* uznają. Więc targi, perswazje, pretensje, wypominanie: z jednej strony tytanicznych wysiłków nad podniesieniem pisma, z drugiej dane półtora roku temu trzy złote na bukiet dla p. Kuszlówny czy na załatanie dziur w butach reporterskich. Zwykle obaj walczący wychodzą z areny bojów zadowoleni. Jeden bo coś „wyrwał", drugi, bo nie dał tyle ile myślał że z niego wyduszą. Bywa i tak, że idą zgodnem gronem od Myśliwskiej, Żorża, a przy specjalnej werwie do Zacisza, i tam, przy piekielnej „Maciejówce". (Lucyper to musi pijać nie dolewając nawet smoły) w idylicznej zgodzie i przebaczeniu uraz wczorajszych i dzisiejszych, (dalej pamięć dziennikarska nie obejmuje), przepijają i te „wyrwane", i te „niewyduszone", fundując sobie z uprzedzającą grzecznością, którąby można nazwać wersalską, ale można też i *zaciszową* czy *żorżową*, lokalizując wyrażenie.

Zdarza się zresztą, że wszystko to odbywa się na kredyt; wtedy należy przypuszczać, że istotnie, nikt nie skłamał (wyjątkowo) i pieniędzy niema. Wskazanem jest w takich wypadkach zjeść i wypić 6 razy tyle ile za gotówkę, by nie kompromitować pisma, okazując jego golizną. Nie samą jednak wódką żyje dziennikarz. Musi, ktoby pomyślał, też coś pisać czasami. Odbywa się to nagwałt, w ostatniej chwili, klnąc ile ściany zmieszczą, wyżwierzając się na każdego, kto się nawinie, (osobniki nadobne są wykluczone), i o ile możności tak nieczytelnie, by móc z czystem sumieniem pofolgować sobie nazajutrz, robiąc piekło za korektę, której „byki" godne są stajni Augjasza. Każdy, kto ma coś na myśli, coś do zobaczenia, usłyszenia, dowiedzenia się lata cały ranek, bo nigdy nikogo nie zastaje i nikt nic do godz. 2 — 3 — 4 nie wie i wogóle nic nie ma i niema żadnego prawdopodobieństwa, by numer wyszedł z tym materjałem, który przynieśli „sympatycy". Odczytywanie ich rękopisów stanowi dla członków Redakcji coś w rodzaju skazania do karnych bataljonów, życzy się tym gościom, (z uśmiechem wdzięczności), żeby z nich dziesiąta muza zrobiła na poczekaniu analfabetów na wieki wieków amen. Potem bywa, że jeśli Redaktor jest w dobrem usposobieniu, sam rzuca to do kosza, a potem zaklina się na żonę i dzieci, że „to ci panowie gdzieś zatracili", co jest we zwyczaju przyjmować z anielską pogodą. Obiadu nie ma czasu, albo nie ma za co zjeść: czasami ktoś zaprosi, bywa, że aż nawet poseł, który może być ministrem (bo jak już się stanie, to... bywaj zdrów żorżowski śledziu z rydzykami). Ku pamięci zanotować należy, iż napis, głoszący, że Redaktor bywa od tej do tej nie ma nic wspólnego z faktycznym stanem rzeczy. Przyjętem jest jednak mówić interesantom, że „wyjątkowo nie ma pana Redaktora, że powinien być i lada moment nadejdzie. Są tacy, co w to wierzą i czekają!

Po obiadowej godzinie, trzeba się, po nocy niespanej w drukarni, czy gdzieindziej, bo to bractwo nie ma przesądów gdzie i jak, i kiedy padać w objęcia morfeuszowe, trzeba się gdzieś przespać. Można i w redakcji, o ile są fotele lub „makulatury" dużo i napalono w piecach. Nawet bliżej do roboty wieczornej. Bo wtedy to, kawalerowie księżyca, bracia nietoperzy, tknięci prądem elektrycznym zaczynają naprawdę żyć, pracować, emanować! Radio skrzeczy międzynarodowe bzdury, telefon z Warszawy mocarnie zajmuje pierwsze miejsce, wszyscy stale szukają piór, papieru i klną, że w kałamarzach wysechł atrament. To jest, nawiasem mówiąc, jeden z cudów redakcyjnych: atrament w najulewniejsze ulewy schnie codzień jak w Krainie Tenezrufu na Sacharze.

Wszyscy gadają i przeszkadzają sobie ile tylko mogą, bywa, że jakiś nowicjusz, albo słaba głowa biega jak zając siam i tam szukając „spokojnego kąta", ale tam... właśnie nie działa elektryczność, a u woźnego drze się niemowlę, w przedpokoju zaś za zimno, na schodach jednak za brudno...

Chłopcy, (nie swoją śmiercią zginą tacy co to *zaczęli* w redakcji (skończą na gałęzi ani chybi) latają z rękopisami do drukarni, skąd raz po raz przychodzą telefoniczne wieści że numer się opóźni, bo materjału w porę nie dają. *Nasilenie* pretensyj i wypominań wzajemnych lenistwa i niedokładności, dochodzi do zenitu. Intensywność pośpiechu wlewa gorączkę amerykańską w żyły na myśl, że coś „nie wlazie" do numeru, co będzie miało jutro konkurencyjne pismo, każdy zgrzyta jak potępienie, a na pociechę zdarzy ci się taki redaktor, który powie: „Czego tu robić taki gwałt? Czy to wyścigi?" Właściwie powinienby codzień *całą* redakcję szlag trafić, ale on też widać, tutejszy; *„nie śpieszaj się bracie, i jutro dzień"*.

W tej przedpiekłowej miazdze, w której się kształtuje numer, pływa jak różdżka oliwna jedna jedyna anielska istota, stale wyprowadzana z równowagi, a mimo to nie zachwiana: to pani z administracji. Żeby nie to błogosławieństwo Boże, (znak widomy że dziennikarze nie są jeszcze z kretesem potępieni), dawno by ich djabli żywcem przez dymniki wynieśli w takie miejsce, gdzie ani pieprz, ani żytniówka nie rośnie.

Powtarzam, jedyna to istota ludzka w tej menażerji, bo jeżeli się w składzie redakcji znajdzie, broń Boże niewiasta, to, śmiem twierdzić, że: tygrysica, której odebrano tygrysa i pogromcę, jest owieczką, „maciejówka" jest mlekiem z melassą, pieprz młodem, a jazzband szeptaną kołysanką w porównaniu z taką *jedną* jedynaczką w redakcji! Już by lepiej było mieć dwie czy trzy... skutek ten sam!

Po tem wszystkiem dziennem w redakcji, następuje noc w drukarni. Jeśli w noc rabinową djabeł porywa jednego żydka, to z drukarni codzień powinien w pazurach wynosić kolejno zecera i dziennikarza do pary. Ale pewnie beskurcyjo pije z nimi i dlatego mają łaski w całem piekle. Nie podobna się rozwodzić nad tem co się w takiej jaskini zbujów dzieje: profan zajrzawszy tam, pada zabity wonią smarów i drukarskiej farby, osiwieje od widoku czarnych, rozchełstanych postaci, kręcących się wśród czarnych ścian i takichże czcionków.

Myśl nasza, rozsypana, zbierana, zmacerowana, odbijana, siekana, smarowana, tłoczona i składana, zmasakrowana przez czerwony ołówek redaktora, błędy korektora i zecerskie, wyłania się z tej fabryki o bladym świcie, obdarta z całego uroku, jaki miała wysnuwając się nam z głowy. Mokry, śmierdzący, brudzący, nic dobrego nie mówiący, nieznośny *numer gazety* wylatuje rankiem jak złośliwy Pipifax, i niesie się gdzie tylko może się wścibić i nagadać co wie i czego nie wie.

Oto jest praca dziennikarska. I tak zgrzeszyliśmy koledzy, 1000 razy! A jutro dorównamy Szeherezadzie, która nam przed wiekami wskazała sposób zajęcia wielkiego Padyszacha—publiczności.

A teraz, kiedyśmy tyle znieśli, i kiedy nas tak długo znosili, dajcież nam Wszyscy Święci świętą pomiędzy sobą cierpliwość, amen.

P. S. Zapomniałam dodać, że dziennikarstwo jest jednym z najmilszych i najzabawniejszych fachów. Jeśli „wejdzie", proszę to umieścić, jako mój osobisty pogląd, ale nie codzienny, tylko od 1000 numeru.

Hel. Romer.

Z Towarzystwa Historycznego.

W niedzielę o godz. 11-ej odbyło się posiedzenie oddziału wileńskiego Polskiego Towarzystwa Historycznego. Po zagajeniu przez profesora Kazimierza Chodynickiego, wzmianką o jubileuszu profesora Stanisława Ptaszyckiego, wygłosił profesor Chodynicki referat na temat: „Tradycja jako źródło historyczne". Określiwszy tradycję, jako przekazy źródłowe, podane przez późniejszych kronikarzy, nie korzystających z bezpośrednich źródeł ani autopsji, lecz polegających na opowiadaniu, stanął referent na stanowisku bardzo krytycznem wobec wartości tego materjału dla naukowej konstrukcji, podzielając w tem poglądy wielu współczesnych badaczy na polu historji.

Nauka dowiodła, że n. p. materjał legendarny rzymski ma niejednokrotnie charakter literacki, to samo twierdzi o podaniach naszych Aleksander Brückner, oraz Witkowski, a o litewskich Jakubowski. Profesor Chodynicki podał rozliczne, bardzo interesujące przykłady, z których wynika, jak daleko idąca ostrożność jest konieczna przy uwzględnianiu podań jako źródła. Fikcyjny ich charakter bierze początek z różnych przyczyn, wśród których referent wyróżnił motywy polityczne, ideowe bądź literackie. Osobno omówiono t. zw. projekcję, t. j. rzutowanie faktów z epoki późniejszej na wcześniejszą, najczęściej w celach politycznych, oraz przerzucanie pewnych zdarzeń z jednych osób na drugie z podobnych względów. Poświęcono też uwagę tworzeniu imion i nazw, które polega nieraz na dowolności.

W tym stanie rzeczy należy każdorazowo dążyć do skontrolowania wiadomości, podawanych przez tradycję przy pomocy źródeł bezpośrednich, a stosować wobec podań i legend najdalej idący krytycyzm i analizę, usuwającą naloty i przekształcenia oraz tendencję wszelkiego rodzaju. Tradycja bowiem jest jakby ognikiem, służącym nieraz za wskazówkę, ale sprowadzającym łatwo na manowce. Niemniej można z niej wyłuszczyć ziarna prawdy, które stają się trwałą zdobyczą naukową.

Głęboko ujęty referat sięga w dziedzinę problemów metodologicznych, a miał za przedmiot zagadnienie, które dotąd wywołuje różnice zdań. W tym też kierunku potoczyła się dyskusja, w której zabierali głos prof. Teofil Modelski (dwukrotnie), dr. Adolf Hirschberg oraz prelegent.

Po odczytaniu przez d-ra Łowmiańskiego protokółu z poprzedniego posiedzenia, przewodniczący zebrania p. Narwojsz zamknął posiedzenie. *a. h.*

Składajcie ofiary na powodzian.

VI-ty Tydzień Akademika.

Czwartek 3. XI. „INAUGURACJA CZWARTKÓW AKADEMICKICH". Lokal Ogniska (Wielka 24) o godzinie 20 ej min. 30.

Niedziela 6. XI. Godzina 10-ta min. 30. Uroczyste Nabożeństwo w kościele św. Jana.

Godz. 13 ta. Wielkie widowisko uliczne na placu Ratuszowym. Pochód wyruszy z dziedzińca Piotra Skargi o godz. 12 ej.

Dalsze szczegóły programu podamy niebawem.

Życie gospodarcze

— **Od redakcji.** Wobec przeciążenia materjałem w związku z numerem jubileuszowym zmuszeni jesteśmy ukazanie się kolejnego „Przeglądu Bałtyckiego" odłożyć do piątku dnia 4 listopada r. b.

Giełda Warszawska z dnia 31 X b. r.

Czeki:

	sprzedaż	kupno
Holandja	359.16	358,25
Londyn	43.39¾	43.29
Nowy-Jork	8,90	8,88
Paryż	35 00	34 91
Praga	26.41½	26,33
Szwajcarja	171 88	171.45
Wiedeń	125.55	125,54
Włochy	48.70	48,58

Papiery procentowe:

Dolarówka	58,50
10% kolejowa	102,65
Pożyczka kolejowa	102,65
5% poż. konwers.	63,50
5% konwers. kolej.	62,00
8% listy zastawne Banku Gosp. Krajowego	92,00—93,00
Oblig. Banku Komun.	92,00
Banku Rolnego	93.00
8% ziemskie	83,00—82 50
4½% ziemskie	61,00
8% warszawskie	83—82,50—83,75
5% warszawskie	68,50—68—68.25

AKCJE:

Bank Dyskontowy	132,00
Bank Polski	155,00—156,0½
Bank Spółek Zarob	90,00
Cukier	6,00
Węgiel	123,00—123,00¾—122,50
Nobel	50,00¾
Cegielski	55,00—56,00
Modrzejów	10,25—10,20
Ostrowiec	99,00
Pocisk	3,30—3,40—3,45
Lilpop	41,00¾—41,00½
Rudzki	62,50—61,90—62,00
Starachowice	78,00—78,50
Zawiercie	41,00
Żyrardów	19,50—19,25
Borkowski	4,25—4,2[illegible]

Sprostowanie.

Na podstawie art. 30 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 10 maja 1927 r. o prawie prasowem (Dz. Ustaw R. P. Nr. 45 ex 1927 r.) proszę o umieszczenie w najbliższym numerze czas. „Kurjer Wileński" sprostowania treści następującej:

W Nr. 250/999 czas. „Kurjer Wileński" z dnia 1 listopada 1927 r. na str. 3 została umieszczona notatka pod tyt. „Dziwna sprawa", treść której, jak również nadane oświetlenie mijają się z rzeczywistością.

W istocie, jeden z wyższych funkcjonarjuszy działu śledczego Komendy P. P. m. Wilna, pomijając drogę służbową złożył bezpośrednio Naczelnikowi Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego podległego mi Urzędu raport ustny o rzekomych systematycznych nadużyciach finansowych, popełnianych przez poszczególnych jego zwierzchników oraz współpracowników służbowych. Na skutek powyższego Naczelnik Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego dokonał łącznie z Komisarzem Rządu na m. Wilno ścisłego sprawdzenia wysuniętych zarzutów, przyczem okazało się, iż są one całkowicie bezpodstawne i wynikły na tle intryg i porachunków osobistych.

Przeciwko inicjatorowi wszczęto postępowanie dyscyplinarne, w wyniku którego zostaną ukarani wszyscy ci funkcjonarjusze, jacy dopuścili się szerzenia w Urzędzie intryg i bezpodstawnego podważania autorytetu swych zwierzchników służbowych".

Wojewoda *Wł. Raczkiewicz.*

KRONIKA.

Czwartek **3** listopada

Dziś: Huberta B. W.
Jutro: Karola Boromeusza.
Wschód słońca—g. 6 m. 33
Zachód „ g. 16 m. 07

— **Dyżury aptek w dn. 3. XI. b. r.**
Miejska—Wileńska 23.
Chomiczewskiego—W. Pohulanka 19.
Chróściela—Ostrobramska 25.
Ottowicza—Wielka 49.

Stale dyżurują apteki:

Zajączkowskiego—Witoldowa 22.
Paka—Antokolska.
Szantyra—Legjonowa.
Siekierzyńskiego—Zarzecze.

METEOROLOGICZNA.

— **Spostrzeżenia zakładu meteorologji U. S. B. z dnia 2. XI. b. r.** Ciśnienie średnie w milimetrach 768. Temperatura średnia +3 stopnie Celsiusza. Opad w milimetrach—wiatr przeważający północno zachodni. Pogodnie. Minimum na dobę +1 stopień, maximum +7 stopni Celsiusza. Tendencja barometryczna—stały wzrost ciśnienia.

OSOBISTE.

— **Przyjęcia u p. wojewody.** W dniu 2 b. m. p. wojewoda Raczkiewicz przyjął starostę pow. wilejskiego p. Nitosławskiego, powiatu brasławskiego p. Januszkiewicza i powiatu postawskiego p. Niedźwieckiego. Następnie p. wojewoda odbył dłuższą konferencję z dowódcą 6 brygady K. O. P. pułk. Arturem Górskim.

URZĘDOWA.

— **Zmiana godzin urzędowania.** Na mocy rozporządzenia ministra Spraw Wewnętrznych, godziny urzędowania w Urzędzie Wojewódzkim i w Starostwach, od dnia 1 b. m. aż do odwołania, rozpoczynają się o godz. 8—30, kończą o godz. 15—30, w sobotę zaś o godz. 14.

MIEJSKA.

— **Kontrola udzielanych na rozbudowę pożyczek.** Komitet Rozbudowy m. Wilna wydelegował specjalnego kontrolera celem przeprowadzenia rewizji czy udzielone petentom pożyczki na rozbudowę i remonty domów zostały użyte na właściwy cel. (s)

— **W sprawie budowy nowej rzeźni miejskiej.** Z łona Magistratu i Rady Miejskiej wyłoniona została specjalna komisja, która zajmie się wyborem miejsca pod budowę nowej rzeźni miejskiej. (s)

— **Stan zdrowotny Wilna.** Sekcja Zdrowia Magistratu m. Wilna w przeciągu ubiegłego tygodnia, t. j. za czas od 23 do 29 ub. m., zanotowała następującą ilość zasłabnięć na choroby zakaźne: tyfus brzuszny—4 (zmarło 1); paratyfus —1; płonica—25; błonica—6 (zmarło 1); ospówka — 5; gruźlica — 2 (zmarło 2); krztusiec—4; róża—3; odra—9; jaglica—1; zausznica—2. (s).

— **Ceny na artykuły pierwszej potrzeby zostaną ustalone przez komisje rzeczoznawców.** Jak się dowiadujemy w piątek 4 b. m. odbędzie się posiedzenie komisji rzeczoznawców branży mączno-piekarnianej, na której zostanie rozpatrzona sprawa ustalenia nowego cennika na wyroby mączne, gdyż piekarnie i młyny domagają się podniesienia cen.

W sobotę 5 b. m. odbędzie się posiedzenie komisji rzeczoznawców branży mięsnej, na której opracowany zostanie projekt zniżki cen na artykuły mięsne.

W poniedziałek lub wtorek 8 b. m. odbędzie się posiedzenie komisji dla ustalenia cen w restauracjach wileńskich. Zaznaczyć należy, iż uboga ludność Wilna z upragnieniem oczekuje wyników obrad komisji branży mięsnej, gdyż ceny na mięso w Wilnie są niepomiernie wysokie.

— **Ceny maksymalne na drzewo.** Komisarjat Rządu na m. Wilno ustalił ceny maksymalne na opał w sposób następujący: sosna spławna, loco brzeg. Wilno — 8 zł. 80 gr. za mtr^3, sosna na składzie 12 zł. 50 gr. za mtr^3, sosna z dostawą 14 zł. za mtr^3, sosna dostarczona przez kolej bez dostawy 13 zł. za mtr^3 z dostawą 14 zł. 50 gr. za mtr^3.

— **Zezwolenie na przywóz tłuszczów.** Komisarz Rządu na m. Wilno podaje do ogólnej wiadomości, że obecnie są wydawane pozwolenia na przywóz z zagranicy smalcu i słoniny bez żadnych ograniczeń kontyngentu.

Osoby, życzące uzyskać tego rodzaju pozwolenia, winne wnieść podania wprost do Centralnej Komisji Przywozu lub do Wydziału Handlu Zagranicznego przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu w Warszawie.

Do podania należy dołączyć deklarację w sprawie ceny sprzedażnej smalcu i słoniny sprowadzanych z zagranicy. Wzór deklaracji można uzyskać w Komisarjacie Rządu na m. Wilno pokój nr. 1.

— **W sprawie piekarń niehigienicznie prowadzonych.** Jak już w swoim czasie podawaliśmy władze administracyjne zarządziły w wyniku rewizji zamknąć lokale tych piekarń, których stan higieniczny nie odpowiada istniejącym w tym względzie przepisom. Na skutek jednak starań Związku Piekarzy otrzymali oni 8-mio miesięczny termin celem doprowadzenia swych lokali do możliwego stanu. Pozatem władze administracyjne postanowiły rozpocząć już w bieżącym miesiącu remont lokali podlegających zamknięciu. (s)

WOJSKOWA

— **9-ta rocznica niepodległości Polski w wojsku K. O. P.** W dniu 11 b. m. mija 9 lat od chwili uzyskania niepodległości przez państwo Polskie. To też dzień ten obchodzić będzie garnizon wileński bardzo uroczyście.

Zrana w Bazylice w obecności przedstawicieli wojskowości, władz administracyjnych i samorządowych odbędzie się uroczyste nabożeństwo, celebrowane przez J. E. Arcb. Jałbrzykowskiego. Wieczorem zaś we wszystkich oddziałach i pułkach stacjonujących w Wilnie odbędą się pogadanki, odczyty i t. p.

Dzień ten jest również dorocznem świętem powstania Korpusu Ochrony Pogranicza. Dla uczczenia dnia tego odnośne władze wojskowe zorganizują we wszystkich strażnicach i oddziałach K. O. P-u przedstawienia i pogadanki dla żołnierzy. (s)

SPRAWY PRASOWE

— **„Reklamówka Kresowa".** W dniach najbliższych ma się ukazać w Wilnie czasopismo tygodniowe p. t. „Reklamówka Kresowa". Będzie to tygodnik o charakterze reklamowym.

SPRAWY SZKOLNE.

— **Uroczystości szkolne w 9-tą rocznicę odzyskania niepodległości.** W związku z przypadającą w dniu 11 listopada r. b. 9-tą rocznicą odzyskania niepodległości władze szkolne poleciły, niezależnie od przewidzianych w programie obchodu uroczystości, urządzić w lokalach szkolnych pogadanki i odczyty okolicznościowe dla młodzieży, które wygłoszą nauczyciele historji lub języka polskiego, albo oddzielnie w poszczególnych klasach, albo wobec całej zebranej młodzieży.

SPRAWY AKADEMICKIE.

— **Czwartki akademickie.** Dziś, o godz. 20-ej m. 20 w lokalu „Ogniska" akademickiego nastąpi inauguracja „Czwartków Akademickich" imprezy budzącej ogólne zainteresowanie. W programie: przemówienie z dyskusją, fragmenty twórczości oryginalnej, dział koncertowy z udziałem pp. Hulewicza i Szeligowskiego, fragment „Żywej Gazetki".

Goście płacą za wstęp 50 groszy. Akademicy mają wstęp wolny.

Z KOLEI.

— **Dziwna zabawa.** Dn. 30.X pomiędzy Żytomlą a Mostami znaleziono świeżo zrąbaną sosnę, leżącą wpoprzek toru, przed przyjściem pociągu osobowego Nr. 253. Okazało się, że drzewo zostało położone dla zabawy przez pastuchów.

— **Tajemniczy wypadek.** Dn. 30.X znaleziono na torze kol. między stacjami Andrzejewicze—Świsłocz, ciężko pokaleczonego hamulcowego Michalaka Wład.

— **Pociągi najeżdżają na furmanki.** 31.X koło Baranowicz dostała się pod pociąg furmanka Montala Eli l. 60. Woźnica ranny.

— 1. XI pomiędzy Jeziernicą a Słonimem na niestrzeżonym przejeździe (klm. 132), pociąg pospieszny Nr. 704 najechał na furmankę. Koń zabity. Ofiar w ludziach ani uszkodzeń taboru nie było.

Z POCZTY.

— **Nowa agencja.** W agencji pocztowej Kolonja Wileńska pow. wileńskiego z dniem 21 października b. r. zaprowadzono służbę telegraficzną i telefoniczną.

Godziny urzędowe w kat. „L".

— **Podwyższenie uposażeń urzędniczych.** Miejscowy Związek Pracowników Poczt i Telegrafów otrzymał od władz centralnych powiadomienie, iż z dniem 1 stycznia 1928 roku pracownicy pocztowi otrzymają podwyżkę dotychczasowych uposażeń.

Z dniem tym również zostanie przyznane podwyższenie gaż pracownikom kolejowym. (s)

SPRAWY ROBOTNICZE.

— **Zmniejszenie płac robotniczych na tartakach wileńskich.** Jak się dowiadujemy właściciele tartaków w Wilnie obniżyli płace robotnicze na tartakach o 4%. Zmniejszenie zarobków właściciele tartaków motywują obniżeniem się kosztów utrzymania w miesiącu październiku.

SPRAWY ŻYDOWSKIE

— **Propaganda szkolna wśród Żydów.** W związku z wejściem w życie ustawy przemysłowej wśród społeczeństwa żydowskiego powstał prąd, ku zakładaniu szkół zawodowych. Usilną agitację prowadzi w tym kierunku T-wo „Ort". Zbierane są składki na fundusz szkolny.

ZE ZWIĄZ. I STOWARZ.

— **Z „Żydowskiego Komitetu Pomocy".** Istniejący na terenie Wilna „Żydowski Komitet Pomocy" przedłożył władzom administracyjnym do zatwierdzenia swój statut organizacyjny.

— **Patronat nad dziećmi szkół specjalnych.** Został złożony do zalegalizowania przez władze administracyjne statut Towarzystwa Patronatu nad dziećmi szkół specjalnych. Patronat roztoczy opiekę materjalną i moralną nad dziećmi moralnie zaniedbanemi, upośledzonemi umysłowo i głuchoniememi w Wilnie i woj. wileńskiem.

ZEBRANIA I ODCZYTY.

— **Naukowe posiedzenie Polskiego Towarz. Przyrodników im. Kopernika.** Dnia 3 listopada r. b. o godz. 7½ wiecz. w sali Tow. Lekarskiego (Zamkowa 24) odbędzie się posiedzenie Oddziału Wileńskiego Polskiego Tow. Przyr. im. Kopernika z referatem prof. dr. M. Limanowskiego p. t. Tegoroczny zjazd geologiczny w Rumunji.

Goście mile widziani. Wstęp wolny.

— **U techników** (Wileńska 33) w piątek 4 listopada o godzinie 8 wiecz. wygłosi odczyt profesor Krasnopolski: „Systematyka wzorów na bicie pali". 5585

WIĘZIENNA.

— **Kurs dla personelu więziennego.** Przy więzieniu Stefańskiem rozpoczął się przed kilku dniami kurs więziennictwa dla personelu więzień miejscowych. Kurs ten potrwa 3 miesiące. (s)

NADESŁANE.

— „Co widzę, znów nowy kapelusz?" rzekła z przekąsem p. Górska, znana ze swego ostrego języka, przy spotkaniu się z młodszą sąsiadką.

— „Droga pani", odpowiedziała z uśmiechem zaczepiona, „kapelusz ten właściwie nic mię nie kosztuje!"

— „To może i mnie wskaże pani źródło, gdzie zadarmo można dostać kapelusz", zauważyła podrażnionym głosem pani Górska.

— „Chętnie pani wyjaśnię moją tajemnicę. Od 2 miesięcy używam kawę „Enrilo" zamiast drogiej kawy ziarnistej. Mój mąż nie czuje żadnej różnicy, ja zaś mogłam ze zaoszczędzonych pieniędzy pozwolić sobie na kupno tego kapelusza. 5681,

Z POGRANICZA.

— **Wysiedlenie z granic Litwy.** Onegdaj na odcinku Kozaczyzna koło wsi Michalina wysiedlony został z Litwy niejaki Feliks Leśkiewicz wraz z żoną i dziećmi. (s)

ZABAWY.

— **„Czarna Kawa" Stow. Pracowników Miejskich.** W dniu 31 października w lokalu Związku Zakordonowych Polaków przy ul. Zawalnej odbyła się „Czarna Kawa", urządzana przez nowopowstałe Stowarzyszenie Pracowników Miejskich.

Na „Czarną Kawę" złożył się dział koncertowy, przyczem wystąpiło trio w osobach: p. p. Chądzyńska, Kruszyńska i Bęcz-Rutkowska i p. Michał Tyman, który odśpiewał kilka piosenek Wertyńskiego.

Po zakończeniu działu koncertowego odbyła się zabawa taneczna, która przeciągnęła się do rana. Zabawę prowadził członek Zarządu p. Siedlecki. Między gośćmi zauważyliśmy sędz. Piłsudskiego, nacz. Wydz. Samorządowego K. Kopcia, ławnika Łokucjewskiego, p. Chądzyńskiego i szereg innych.

Do tańca przygrywało trio akademickie. Jak się dowiadujemy Stowarzyszenie Pracowników Miejskich zachęcone powodzeniem pierwszej zabawy, ma zamiar na przyszłość urządzać podobne imprezy w każdą sobotę.

Teatr i muzyka.

— **Reduta na Pohulance.** W piątek 4 listopada b. r. o godz. 20-ej, Reduta przedstawi wynik swej pracy nad sztuką 3-aktową p. t. „Okno". Autor p. Andrzej Rybicki, lwowianin, należy do najmłodszego pokolenia polskich pisarzy scenicznych. Dotychczas nigdzie swoich utworów nie wystawiał. „Okno" jest sztuką napisaną w oryginalnej nowoczesnej formie a zawiera w sobie treść na temat ofiary nie jako smutek, lecz jako radość pojętej.

Bilety wcześniej do nabycia w biurze podróży „Orbis" (Mickiewicza 11) w dniu przedstawienia w kasie teatru od godz. 5-ej wiecz.

— **Teatr Polski (sala „Lutnia").** Dziś po raz ostatni na przedstawieniu wieczornem ukaże się świetny „Pan Damazy".

— **Jutrzejsza premjera.** „Fura słomy", najnowsza komedja Z. Kaweckiego.

— **Poranek wokalny T-wa „Lutnia".** W niedzielę 6-go b. m. w sali „Lutnia" (A. Mickiewicza 6) odbędzie się poranek wokalny z udziałem wybitnych sił solowych: znanej śpiewaczki prof. konserwatorjum Konstancji Święcickiej i b. artysty opery-teatrów rosyjskich i innych

Początek o godz. 12 i pół popoł.

Radjo.

CZWARTEK 3 listopada.

Warszawa 10 kw. 1111 m.

12.00. Sygnał czasu i komunikaty.
12.20. Koncert płyt gramofonowych.
15.00. Komunikaty.
16.00. Odczyt.
16.25. Komunikat harcerski.
16.40. „Kącik dla kobiet".
17.05. Komunikaty P. A. T.
17.20. „Wśród książek".
17.45. Audycja literacka.
19.00. Komunikat rolniczy.
19.15. Rozmaitości.
19.35. Lekcja języka angielskiego.
20.30. Koncert wieczorny.
22.00. Sygnał czasu i komunikaty.

Na wileńskim bruku.

— **Najście pijanych na dom.** 30 b. m. wiecz. do domu nr. 5 przy ul. Wiwulskiego weszło dwóch pijanych osobników, przypuszczając widocznie, że są u siebie, zaczęli się dobijać do mieszkania pp. Z. Pijani pobili przy tem szyby stróżowi i jednego z mieszkańców domu, który starał się ich wyprowadzić, wreszcie poczęli grozić, że zaczną strzelać. Sprowadzona przez p. Z. policja przyprowadziła dom do porządku. Wytrzeźwieni napastnicy zwrócili koszta uczynionych szkód.

— **Nagły zgon.** Żydowski szpital miejski powiadomił, że do szpitala została dostarczona z Olkienik w stanie nieprzytomnym Judes Szwecka lat 23, która nie odzyskawszy przytomności zmarła.

— **Ciągle kominy.** Zapaliły się sadze w kominie piekarni Icka Buksztelskiego przy ul. Rudnickiej 7. Straż ogniowa pożar stłumiła w zarodku. Strat żadnych niema.

— **Jak zwykle.** Zofja Pesicka zam. przy ul. Jagiellońskiej 6, zameldowała, że skradziono jej z mieszkania różne rzeczy i dokumenty wart. 1.500 zł.

Z KRÓLESTWA KAPRYSÓW.



Główną ozdobą płaszczy zimowych jest w roku bieżącym, podobnie, jak zimy ubiegłej, futro. Umieszczenie futra na płaszczu 1) jest bardzo oryginalne i gustowne; kołnierz szalowy z szarych karakułów wydłuża się, co czyni wygląd ogólny bardzo efektownym. Bardzo lubiane są również płaszcze wykonane według modelu 2).

Dalej przynosimy model okrycia popołudniowego z różowego aksamitu (3). Sukienka ta może być również zrobiona z jersey, nic przytem nie tracąc na swej elegancji.

Na obrazku (4) widzimy modne okrycie wieczorowe z czarnej satyny. Z przodu jest suknia częściowo wydłużona, co czyni sylwetkę bardziej smukłą. Na ramieniu umieszczony jest duży kwiat z różowego i czarnego muślinu.

Okrycia wieczorowe wykonywane są w sezonie bieżącym głównie z muślinu, crepe satin, crepe georgette, crepe de chine i t. p. Sukienki są zwykle zakańczane nieprawidłowo. Dekolty są owalne; prostokąty i trójkąty są mniej modne. Kolory pastelowe są w dalszym ciągu bardzo modne.

SPORT.

Szermierka.

— **Kurs szermierczy pań.** Z dniem 2. XI. rozpoczął się kurs szermierczy pań na florety zorganizowany przez ośrodek w. f. Zajęcia na kursie odbywać się będą 2 razy tygodniowo we wtorki i piątki od godz. 17—18 w sali gimn. Słowackiego.

Boks.

— **Instruktorski kurs bokserski dla podoficerów i policji.** Ośrodek w. f. zorganizował w dniu 2. XI. instr. kurs boksu dla podoficerów i policji.

Zajęcia na kursie odbywać się będą codziennie od godz. 9—10 rano przez 6 tygodni w sali Ak. Zw. Sp.

Absolwenci tego kursu prowadzić będą naukę boksu w oddziałach wojskowych i w policji.

— **Kurs boksu dla początkujących.** Równolegle z kursem instruktorskim prowadzony będzie przez Ośrodek w. f. kurs boksu dla początkujących.

Narazie zgłosiło się na ten kurs 30 kandydatów w tej liczbie 20 policjantów i 10 członków Zw. Strzel.

Zajęcia odbywać się będą 3 razy tygodniowo po 1 godz. od godz. 17—18.

Spełnij swój obowiązek!

IX-ta Olimpjada 1928 r.

będzie wielką próbą sił polskiego sportu. Na IX Olimpjadzie wywalczymy dla Polski miejsce odpowiadające jej wielkości i potędze.

Przyczyń się do zwiększenia szans narodowej reprezentacji.

Polski Komitet Olimpijski

Zmiana rozkładu jazdy pociągów podmiejskich na okres zimowy.

Dyrekcja K. P. w Wilnie zawiadamia w celach informacyjnych, że w związku ze zmianą godzin urzędowania z dniem 1-XI r. b. w instytucjach państwowych od godziny 8 m. 30 do godz. 15 m. 30 (na okres zimowy), poczynając od dnia 1 listopada r. b. zmienia się rozkład jazdy pociągów lokalnych Nr 729 Wilno—Nowo-Święciany, Nr 353 Wilno—Lida, Nr 1758 Wilno—Landwarów—Rudziszki, Nr Nr 756, 756A, 757 i 757A Landwarów—Zawiasy, jak następuje:

1) Poc. Nr 729 odchodzący obecnie z Wilna codziennie oprócz dni świątecznych o godz. 15 m. 25 będzie odchodził w te same dni o godz. 16 m. 00.

2) „ „ 353 odchodzący obecnie z Wilna codziennie oprócz dni świątecznych o godz. 15 m. 35 będzie odchodził w te same dni o godz. 16 m. 05.

3) „ „ 1758 odchodzący obecnie z Wilna o g. 15 m. 30, będzie odchodził o g. 15 m. 55.

4) „ „ 756 odchodzący obecnie z Landwarowa w poniedziałki, wtorki, czwartki i soboty, oprócz dni świątecznych o godz. 16 m. 04 będzie odchodził w te same dni o g. 16 m. 29.

5) „ „ 756A odchodzący obecnie z Landwarowa w środy, piątki i dni świąteczne o g. 17 m. 37 będzie odchodził w te same dni o g. 18 m. 02.

6) „ „ 757 odchodzący obecnie z Zawias w poniedziałki, wtorki, czwartki i soboty oprócz dni świątecznych o g. 16 m. 51 będzie odchodził w te same dni o g. 17 m. 16.

7) „ „ 757A odchodzący obecnie z Zawias w dni świąteczne, środy i piątki o g. 18 m. 21 będzie odchodził w te same dni o g. 18 m. 46.

8) „ „ 1758A odchodzący obecnie z Landwarowa do Rudziszek w dni świąteczne, środy i piątki o g. 16 m. 04 będzie odchodził w te same dni o g. 16 m. 29.

9) „ „ 1758 odchodzący obecnie z Landwarowa do Rudziszek w poniedziałki, wtorki, czwartki i soboty oprócz świąt o g. 17 m. 37 będzie odchodził w te same dni o g. 18 m. 02.

Humor.



— Mamusiu, dlaczego tatuś do mnie mówi „chłopcze", a do panny Anieli „drogie dziecko"?



— Ładna jest ta bransoletka od Władzia, ale podejrzewam, że jest to imitacja...

— A czemu tak myślisz?

— Bo mnie Władek uprzedzał, bym jej nie zastawiała.

Wydawca Tow. Wydaw. „Pogoń". Tow. Wyd. „Pogoń", Druk. „Pax", ul. Św. Ignacego 5. Redaktor w/z. A. Faranowski.